

~~4330.~~

B.P. im. Ł.

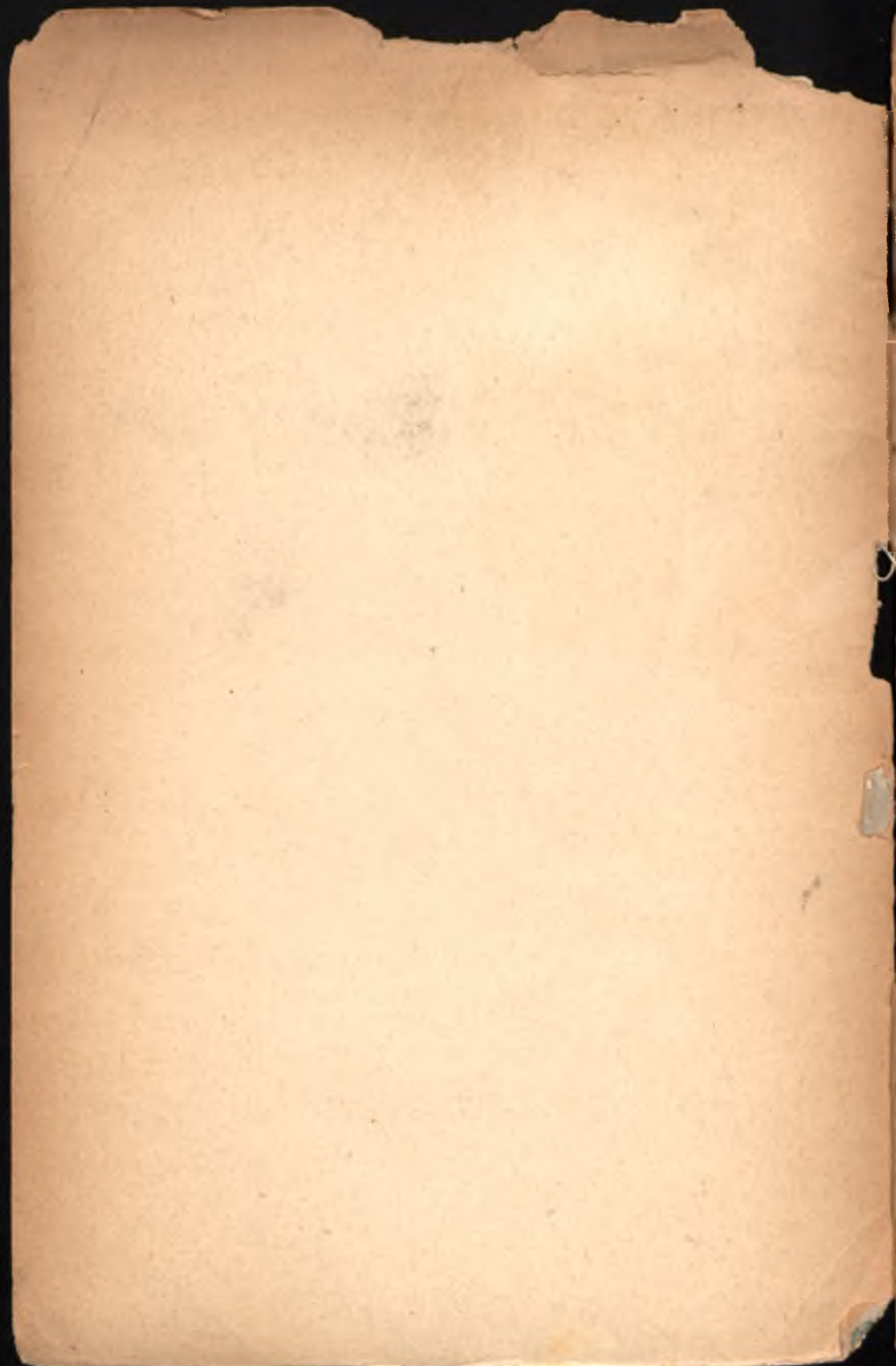
WOL. BIEGOSTOKA
Nr 1386C
LUBLIN
M. H. L. 1904

JEDNODNIÓWKA

Z NAD BRZEGÓW NARWI

NA DOCHÓD ŁOMŻYŃSKIEGO
TOWARZYSTWA DOBROCZYNNOŚCI.

DRUK. PIOTRA ŁASKAWEPA I S-KI. WARSZAWA



Z NAD BRZEGÓW NARWI.

4

75

G. 1. 1. 1.

Z NAD BRZEGÓW



ARWI.

JEDNODNIÓWKA.

Na dochód Łomżyńskiego Tow. Dobroczynności.

Nr. 4330.



WARSZAWA

Druk Piotra Laskauera i S-ki

1902

P. RACZKOWSKI
WYDAWCA
I DZIAŁ
w Warszawie.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Апрѣля 1902 г.



OD WYDAWCÓW.



Przystępując do wydawnictwa „Jedno-
dniówki”, nie mieliśmy innych celów
jak zasilenie ubogiej kasy Towarzy-
stwa Dobroczynności w Łomży, ani
też innych zamiarów, jak zużytkowanie w powyż-
szym celu *miejsowych* sił literackich, zarówno już
dojrzałych i wypróbowanych, jak budzących się do-
piero do życia. Prócz garści aforyzmów, którymi
z właściwą sobie uprzejmością obdarowała nas zna-
komita autorka „Argonautów”, wszystkie utwory,
wypełniające ten skromny zeszyt, nie wyłączając
tych, które są podznaczone zaszczytnie znanymi
imionami Estei i Z. Glogera, wyszły z pod piór ro-
dowitych lub przybranych dzieci ziemi łomżyńskiej,
a lubo treść ich nie zawsze w bezpośrednim z tą zie-
mią pozostaje związku, to przecież tytuł „Z nad
brzegów Narwi”, jakim ochrzciliśmy cały zbiorek,
wydaje nam się dostatecznie usprawiedliwionym.
Jeżeli w rzędzie tych utworów znajdzie się chociaż

jeden o trwalszej wartości literackiej (o czem sąd nie do nas należy), będzie to zysk, na który zgoła nie liczyliśmy w danych warunkach, nie mogliśmy liczyć; pretensye nasze bowiem nie sięgały dalej, nad dostarczenie czytelnikom naszym, wzamian za niewielką ofiarę pieniężną, chwili przyjemnej, a szlachetnej rozrywki. Na co jednak liczyliśmy i co nas z pewnością nie zawiodło — to dobra wola tych, do których odwoływalismy się o współudział w zamierzonym wydawnictwie: ci wszyscy z godnym uznania pośpiechem i bezinteresownością stawili się do apelu, za co też składamy im na tem miejscu gorące podziękowanie. Obecnie pozostaje nam tylko życzyć, aby to chrzestne dziecię nasze znalazło równie chętne i życzliwe przyjęcie wśród najszerszego koła czytelników, ile że czysty zysk z wydawnictwa przeznaczonym został zgóry na założenie w Łomży tak pożytecznej instytucyi filantropijnej, jak warsztaty rzemieślnicze dla dzieci ubogich rodzin, w mieście naszym osiadłych.

Łomża, w kwietniu 1902 r.

Wydawcy.





Drastare dzieje Narew pamięta,
I o nich gwarzy cichemi słowy:
Jak się zjeżdżali niegdyś na łowy
W łomżyńskie knieje możni książęta.
Pamięta z Szwedem zacięte boje,
Kiedy to dzielnych kurpiów szeregi
Wyparły wrogów za Narwi brzegi,
Tnąc ich strzał żądłem, jakby pszczoł roje.

Dziś tu zaścianków rozsiadły chaty,
W cieniu sosnowych borów drzemiące,
Lśnią purpurowe maki na łące,
Jakby odświeżone kurpianki szaty.
Szumi las stary, — a pod zieloną
Mchów i paproci miękką powłoką,
Jak łzy — żywicy krople, głęboko
Zapadłe w ziemię, bursztynem płoną.

Miły mi zagon łomżyńskiej roli,
I lubię słuchać, co Narew gwarzy,
Tęskną zadumę rad widzę w twarzy
Tych, co o bliźnich myślą niedoli —
Więc się zespalam słowy szczeremi
Z pracą, co dobro chce mieć na celu; —
Boć mi najmiłsze z jej czarów wielu,
Gorące serce łomżyńskiej ziemi.

Jerzy Orwicz.

Gucin 9 Kwietnia 1902 r.





WESELE BABUNI

Z NOTATEK ETNO-
GRAFICZNYCH
ZYGMUNTA GLO-
====GERA.====

— Dziś musi mi babunia opowiedzieć swoje weselisko z najdrobniejszymi szczegółami — mówił dwudziestoletni student w granatowym mundurku Szkoły Głównej warszawskiej, przysiadając się do staruszki robiącej pończoszkę na drutach i zażywającej pachnącą „supraską“ tabaczkę z szyldkretowej tabakierki.

Babunia za żądanie najdrobniejszych szczegółów o jej weselu, pogroziła palcem wnukowi i byłaby go nawet ofuknęła, gdyby nie przypomniła sobie, że już od lat kilku chłopaczysko przyjeżdżając z Warszawy na święta i wakacje do rodziców, lub odwiedzając babkę, zamiast polować, hasać konno i bawić się, wiecznie tylko spisywał pieśni które śpiewały mu dziewczęta, baśnie opowiedane przez wiejskie baby, podania starych ludzi, i egzaminował do znudzenia własną babkę ze wspomnień jej młodości. Nigdy jednak jeszcze badania wnuka nie wkroczyły w granice obrzędu weselnego poważnej matrony. Ale babunia, tak jak wszystkie babunie na świecie, bardzo kochała swego wnuka i oświadczyła gotowość odpowiedzi na wszystkie jego zapytania. Zaczęła się tedy prawdziwa indagacja sędziwej delikwentki, zmuszonej do przypominania sobie tysiącznych szczegółów o dawnych

zwyczajach, tańcach, gościach weselnych, ich ubiorach, pojazdach i t. d. Wszystko to, notowane drobiazgowo przez zaciętrzewionego w swej pracy indagatora, złożyło się na obrazek niniejszy, który tu poprzedzony być musi objaśnieniem o okolicy, rodzinach i majątkach gdzie odbywało się wesele.

Dawne województwo Mazowieckie składało się z 10-u ziem, z których Łomżyńska, jedna z obszerniejszych, zawierała w sobie 4 powiaty: Łomżyński, Kolnieński, Ostrołęcki i Zambrowski. Na powiat Zambrowski składało się 123 wsie szlachty zagonowej i kilkanaście folwarków szlachty grubszej, która jednak w tej okolicy tak mało posiadała kmieci poddanych, iż mogłeś być zgnieciony w tłoku na jarmarku lub odpuscie i nie zobaczyć w tym tłumie ani jednej duszy nieszlacheckiej. Największym majątkiem w powiecie Zambrowskim był Mężenin, stare gniazdo Mężeńskich herbu Kościesza, wśród lasów górzystych położony. Pod koniec XVI wieku dziedzice Mężenina Jakób i Anna Mężeńscy zmurowali kościół w Rutkach, dotąd istniejący. W sądzie ziemskim zambrowskim najwięcej podsędków wybierała szlachta z rodziny Mężeńskich. Już za Zygmunta Augusta podsędkiem zambrowskim był pan Marcin Mężeński, dziedzic na Mężeninie i Ożarach. Łukasz Górnicki starosta tykociński, znakomity pisarz polski w XVI w., wydał jedną ze swoich córek za Maksymiljana Mężeńskiego również podsędka zambrowskiego, z czasów Zygmunta III. Z córką czy też wnuczką tego Maksymiljana, a prawnuczką Górnickiego ożenił się Wojciech Opacki, podkomorzy warszawski, herbu Prus, znany za Jana Kazimierza poseł do dworów zagranicznych. Odtąd Opaccy na Opaczy i Mińsku przenieśli się z ziemi Warszawskiej do Łomżyńskiej i za główne siedlisko swoje obrali gniazdo wygasłych Mężeńskich. Ostatnim męzkim potomkiem tej linii był Chryzanty Opacki zarazem ostatni kasztelan wiski, który wzięwszy w posagu za żoną swoją Gomolińską podkomorzanką łęczycką dobra Krośniewickie w Kutno-

wskiem i na handlu zboża do portów pruskich dorobiwszy się znacznej fortuny, należał do najzamożniejszych panów mazowieckich. Kasztelan wiski nie był jednak dziedziem całych dóbr Mężeńskich. Ojciec bowiem jego miał siostrę Zofję za Dobrzynieckim, (praprawnuczkę Łukasza Górnickiego) która w dziale rodzeńskim z dóbr tych dostała folwark Pęsy ze 120-to włókowym borem, nie mającym jeszcze wówczas żadnej wartości. Po tej Zofii został syn Piotr Dobrzyniecki, cioteczny brat kasztelana, podwojewodzy radziłowski, ożeniony z Zofją Zagórską rodem z powiatu Skwirskiego na Ukrainie.

Obu braciom ciotecznym Bóg nie dał synów. Kasztelan miał jedną córkę Agnieszkę, spadkobierczynię kilkamiljonowej fortuny, podwojewodzy zaś na swój jeden folwark z borem miał cztery sukcesorki: Aniełę, Marję, Agnieszkę i Józefę. Obaj bracia różnili też się wielce przekonaniami i powierzchownością. Opacki był salonowcem doby stanisławowskiej, nie nosił się już po polsku, przypudrowywał włosy, wtrącał do mowy frazesy francuskie, dostawszy od króla kasztelanję i przywilej na jarmarki w Mężeninie, stał się jego stronnikiem, a był zawsze doradcą i wielkim przyjacielem domu siostry królewskiej, tak zwanej „pani krakowskiej” wdowy po Janie Klemensie Branickim hetmanie wiel. kor. i kasztelanie krakowskim, utrzymującej dwór prawie królewski w Białymstoku. Dobrzyniecki zaś na peruki, puder, fraki. zaboty i francuzczyznę spluwał, mieszał często wyrazy łacińskie i powtarzał „mopanie“, chwycił giestem ręki, za rękojeść szabli, choć ją już tylko przypasywał na wielkie uroczystości, głowę wysoko do koła podgalał, chodził zawsze w żupanie i pasie, a na święto i wizytę w kontuszu. Z kasztelanem nazywali się zawsze „panie bracie“ i sprzeciali często w kwestjach politycznych, choć obaj zarówno kraj miłowali. Króla tylko nazywał wtedy podwojewodzy „stolnikiem“, wiedząc że kasztelana tem podrażni. Gdy raz przejazdem do Grodna bawił Stanisław August u siostry w Białymstoku, kasztelan chciał przed-

stawić brata monarsze nie bez ukrytej myśli, że uprzejmość królewska, a może i widomy dowód jakiej laski, przełamie niechęć nieprzejednanego szlachcica. Ale Dobrzyński nie dał się skusić i tylko wzdrygnął na myśl, że musiałby „pana stolnika“ w rękę pocałować, przy czem zwyczajem swoim splunął.

Córki obu braci zaczęły zamąż wychodzić. Kasztelanka jako dziedziczka wielkiej fortuny, a choć nie tyle ładna, ile ujmująca i gruntownie wykształcona, (umiała bowiem i grać na klawikordzie i harfie, i malować gwaśzami, i śpiewać, i dzieje polskie znała na palcach i kilka języków a między nimi łacinę) — miała ubiegających się o jej rękę kilku magnatów, pragnących podreperować groszem kasztelańskim zaszargane szulerką fortuny. Przeczorny jednak kasztelan dawał panom kosze w imieniu jedynaczki, nie zważając na głośnie ich nazwiska i arystokratyczne parentele. Wybór panny i zezwolenie ojca padło na szlachcica mazowieckiego, nie mającego z arystokracją żadnych jeszcze pokrewieństw, w którym przecież widział Opacki umysł niepospolity. Mieszkał w Warszawie już od czasów saskich chorąży ziemi Wiskiej Stanisław Rembieliński, zdolny i uczony prawnik, sekretarz sejmowy i przyboczny gabinetu króla Stanisława. Pod jego redakcyą wyszły z druku *Dyaryjusze sejmów konwokacyjnego i koronacyjnego* w latach 1763 i 1764 oraz *Konstytucje sejmku ordynaryjnego warszawskiego* w r. 1766. Sam zaś był autorem dzieła p. t. *Projekt do objaśnienia prawa o kwarcie i dupli podany na sejm dnia 27 września 1766*. Pan chorąży dóbr ziemskich nie miał, więc król dał mu jakieś starostwo i opiekował się trzema jego synami: Rajmundem, Wiktorem i Andrzejem. Wszyscy pod okiem rozumnego ojca otrzymali gruntowną edukację, a zwłaszcza najzdolniejszy i zarazem najdorodniejszy z braci Rajmund. On to wpadł w oko młodej kasztelance, gdy bawiła z ojcem w Warszawie, a i pan Rajmund ufny w poparcie króla nie zasypiał gruszek w popiele. Wychowanie wojskowe, które otrzymał w warszawskim Korpu-

sie kadetów, utorowało młodzieńcowi drogę do chlubnego odznaczenia się i do wyższego stopnia oficerskiego. Król opuszczając kraj polecał Opackiemu Rajmunda Rembielińskiego, jakoż w r. 1797 pobłogosławiony został związek małżeński 20-to letniej kasztelanki ze starszym od niej zaledwie o lat kilka „pułkownikiem“ byłych wojsk polskich.

Było to za „czasów pruskich“ bardzo ciężkich dla krajowego rolnictwa. Nastąpił cały szereg lat nieurodzajnych, szlachta straciła różne przywileje i udział w rządzeniu krajem, podatki podwyższano, a po wysiłkach i klęskach wojny r. 1794 wisiał w powietrzu cały szereg wojen napoleońskich. Jednem słowem cena ziemi spadała i można było, kto miał pieniądze i odwagę, kupować ją szmatami za bezcen. Rembieliński miał znaczne kapitały posagowe i głowę ekonomiczną nie dla kształtu, jak dowiódł tego później na stanowisku obywatelskiem w kilku dziełach przez siebie wydanych. Jakoż w ciągu 20-to letniego pożycia swego z pierwszą żoną (Opacką) nabył za marny grosz dobra Jedwabno i wiele ziemi pod miastem Łomżą i nad rz. Biebrzą, a po śmierci kasztelana (która nastąpiła w r. 1806) sprzedał tylko jego dobra Makowlany i Sidrę w Grodzieńskim. Rzecz zatem prosta, że Rembieliński zabiegi swoje zwrócił najpierw do odkupienia od Dobrzynieckiego Pęś z borami, które jak to powyżej wymieniliśmy były schedą matki podwojewodzego, a rodzonej ciotki kasztelana. Dobrzyniecki. mając jeden folwark i szmat lasów, widział niepodobiestwo podzielenia 4-ch córek tą puścizną przystał zatem na propozycję pana Rajmunda i odstąpił mu, a raczej jego żonie całą fortunę swoją za 4 tysiące dukatów t. j. po tysiąc dukatów posagu w złocie dla każdej córki, zachowując dla siebie w dożywocie folwark Pęsy. Ludzie współcześni obliczali, że w tym szacunku sosna masztowa nie wypadła drożej nad 3 grosze, były to jednak czasy, w których las nie miał jeszcze prawie żadnej wartości i nikt nie przypuszczał, że w 70 lat później

syn z drugiej żony pana Rajmunda sprzeda izraelitom berlińskim 260 włók dóbr Mężeńskich za półtora miliona złotych polskich, a ci na sprzedaży samego drzewa zarobią *miljon talarów*.

Wróćmy atoli do panien podwojewodzianek, które wychodziły zamaż dawnym obyczajem podług kolei staśczeństwa i teraz właśnie t. j. w d. 2-im sierpnia 1809 r. miało się odbyć w Pęсах wesele „Jagulki“, czyli Agnieszki, trzeciej z rzędu córki podwojewodzego, tej która w 60 lat później wszystkie szczegóły godów weselnych wnu-kowi swemu opowiadała.

Przystojna i hoża panna Agnieszka miała kilku konkurentów, z których najmniej podobał się jej pan Maciej Wojno. Bo gdy tamci przyjeżdżali we frakach, żabotach, białych pończochach i lakierowanych trzewi-kach z błyszczącymi klamrami, co cechowało wówczas ludzi dobrego tonu, i panna Agnieszka naturalnie nie przy ojcu zrobiła uwagę, że światowemu kawalerowi lepiej przystoi frak niż kontusz, to pan Maciej, trochę tem dotknięty odparł stanowczo: „Nie przeczę że dla fircyka i wiercipięty frak zgrabniejszy, wszak i djabłu najlepiej w nim do twarzy, ale dla szlachcica podlaskiego lepszy kontusz i żupan, bo tak nosił się jego dziad i pradziad. I ja kontusza na frak nie zmienię, bo by mnie nawet psy wojnowskie nie poznały i myśląc żem jaki urwipola oberwałyby mi jeszcze ogon frakowy w dodatku“. Pan podwojewodzy, który na widok fraka na szlachcicu zwykł był spluwać, a słysząc francuzczyznę i czując piżmo sapał nosem i ruszał wąsiskami, a nawet chwycił się niekiedy dłonią za lewy bok, u którego zawsze czuł jakby wiszącą szablę, sprzyjał szczerze Panu Maciejowi uważając go za najstateczniejszego z bywających w Pęсах kawalerów.

W istocie wszystko za panem Maciejem przemawiało. Był zdrów jak tur, przystojny, miał lat 30, gospodarz zawołany, człek pobożny i zacny z kośćciami, łacinnik dobry, więc i bez palestranta rozumiał stare akta,

a bez księdza stare księgi i czytał łacinę jak groch, a nawet umiał trochę po niemiecku, bo kończył szkoły już za czasów pruskich w Białymstoku. Francuzczyzny tylko ani w ząb, co bardzo pocieszało podwojewodzego, bo miał rękojmię, że nie będzie „wykręcał“ tym językiem z dziećmi ani Jagulką, która bawiąc często u swojej przecioteecznej siostry Rembielińskiej, już od 12-tu lat zamężnej, otrzaskała się z wstrętną dla ojca paplaniną. Ale pan Maciej miał jeszcze inne strony dodatnie. Na sąsiedniem Podlasiu o 4 mile od Pęś miał folwark Wojny Szuby w dobrej pszennej glebie i 10 włók masztowej dębiny w uroczysku zwanem „Popielnik“. Wieś Wojny, ta która była pierwotnem gniazdem Wojnów z doby piastowskiej, leżała w ziemi Zakroczymskiej. Ale gdy w wieku XIII i XIV stanęły otworem oswobodzone od grasowania Jadźwingów prawie puste ziemie podlaskie, szlachta mazowiecka zaczęła szybko zajmować te dziedziny i Wojnom herbu Trąby dostał się wówczas 250 włókowy szmat pszennej ziemi w okolicach dzisiejszej stacyi Szepletowo położony. Rozradzając się i dzieląc założyli na niem Wojnowie od wieku XIV do XVI ośm wsi swego nazwiska, które uczynili rozsądnikiem Wojnów na całą Rzeczpospolitą. Ci, którzy wynieśli się stąd na Litwę, zachowując herb *trąby* zmienili starożytną pisownię nazwiska Wojno na Wojna. Dwaj z takich Wojnowie byli za Zygmunta III biskupami wileńskimi, jeden był podskarbisem litewskim, jeden za Stanisława Augusta dyplomata polskim w Wiedniu. Jan Karol z Jasienicy był za czasów Sobieskiego profesorem języka polskiego w Gdańsku. Pan Maciej z ośmiu dzielnic, na które się pierwotne Wojny podzieliły, posiadał 2 o kilkudziesięciu włókach przestrzeni i dokumenta posiadania przez jego przodków od kilku wieków. Tej starożytności pan podwojewodzy nie brał w rachubę, bo wszystka szlachta stron tutejszych siedziała w swoich rodowych gniazdach od kilku wieków, np.: Baczewscy w Baczach, Białosukniowie w Białosukniach, Tyszkowie w Tyszkach,

Chojnowscy w Chojnowie, Glinkowie w Glinkach, Jabłońscy w Jabłoni, Kierznowscy w Kierznowie, Kisielnicy w Kisielnicy, Kubersey w Kubrze, Godlewscy w Godlewie, Szepietowscy w Szepietowie, Pienkowscy w Pienkach, Skarzyńscy w Skarżynie, Szczukowie w Szczukach, Bzurowie w Bzurach, Kuleszowie w Kuleszach, Łuniewscy w Łuniewie, Jabłonowscy w Jabłonowie, Moniuszkowie za Biebrzą w Moniuszkach i t. d. Nie byli więc tak niemądrymi żeby w tej starożytności szukali szczególnego zaszczytu, jak to bywa w innych prowincjach, bo wszyscy byli tu sobie równi odwiecznością swych gniazd i rodów, o których założeniu nawet tradycje ich zanikały.

Był dawniej dobry zwyczaj, zarówno u możnej jak i ubogiej szlachty, że konkury nie przewlekały się długo, a młodzian miarkując, że serce panny pozyskał, nie żądał najprzód od niej słowa, co uważałby za nieuszanowanie woli jej rodziców, ale przywoził z sobą poważnego sąsiada lub krewnego, który najpierw zapytywał rodziców i sprawę skojarzenia stadła zagajał. Takim swatem młodego pana Macieja, został sąsiad jego, sędzia Michał Idźkowski dziedzic Bryk, człowiek poważny, dowcipny, stary palestrant, wysoki, otyły kontuszowiec. Miał on jedyną córkę Józefę, którą przed paru laty wydał za Antoniego Butlera dziedzica Miedzny i Antyporów w ziemi Drohickiej. Gdy w jednym pokoju pan sędzia oświadczywszy wiadomy wszystkim afekt pana Wojny i otrzymawszy zapewnienie zgody rodziców, nie tracąc czasu układał się z podwojewodzym o warunki intercyzy ślubnej, w drugim matka usiłowała córkę nakłonić, aby nie stawiała oporu. W pół godziny potem przyniesiono gąsiorek i 5 kieliszków, które nalewano potrzykroć, pijąc zdrowie podwojewodztwa, narzeczonych i swata. Po tych toastach oznaczono zaraz termin wesela za 6 tygodni, bo tyle potrzeba było czasu na sporządzenie wyprawy, czyli jak niegdyś nazywano „ochędówki szlacheckiej.“ Jakoż we dwa dni potem pani podwojewo-

dzyna jechała juchtową kolasą na Wiznę i Wąsosz do przyjaciół swoich państwa starościcostwa Rydzewskich, mieszkających w Rydzewie nad pruską granicą, skąd potem obie panie jeździły dwukrotnie po zakup wszystkiego do Elku w Prusiech, gdzie podejmował ich gościnny Kar-kuć, mazur pruski właściciel oberży i sklepu. W tydzień potem 4 szwaczki siedziały dniem i nocą pod nadzorem pani Rydzewskiej w Rydzewie i drugie cztery pod okiem pani Dobrzynieckiej w Pęśach, aby w ciągu miesiąca uszyć wyprawę podwojewodziance.

Dwór w Pęśach jak wszystkie stare dworki u szlachty jednofolwarkowej na Mazowszu był drewniany, niewielki, o pięciu pokojach z gankiem przed sienią. Nie budowano dawniej obszernych dworów, nawet tam gdzie milowe posiadano lasy, bo stara szlachta spędzając połowę swego życia w drodze, obozie i na koniu, przyzwyczajona do rycerskich niewygód, nie dbała o wygodę domowe. Umiano jednak w owych czasach radzić sobie wybornie na ciasnotę, gdy kilkadziesiąt osób przybywało na uroczystość rodzinną. Już na tydzień przed weselem polecono włościanom z trzech najbliższych dworu chat wiejskich przenieść się do sąsiadów, poczem izby w tych chatach starannie wymyto, wybielono, poobijano kilimkami, zalepiono dziury w klepiskach i urządzono posłania dla niewiast. Dla mężczyzn zaś przygotowano w dworskiej stodole wonne siano zasłane prześcieradłami, misy i dzbany z wodą, a pod ścianą stół ze zwierciadłem. Włościanie przeniesieni na dni kilka, cieszyli się z tych porządków w swoich chatach, a szlachta lubiła noclegi „pokotem“, bo to przypominało dawne życie obozowe i rycerskie.

Już w niedzielę przed wtorkiem na ślub wyznaczonym, zaczęli się zjeżdżać do Pęś goście weselni, których przegląd całkowity jako do obrazu wesela niezbędny i dla ich potomków ciekawy, uczynimy tu kolejno. Najprzód więc uczestniczyło w weselu z najbliższego sąsiedztwa cztery domy Mleczków, spokrewnione z rodzi-

cami panny młodej: Pan Piotr Mleczek, miecznik mielnicki dziedzic Porytego, wdowiec, przybył obszerną kolasą z dwoma synami i dwiema córkami. Najmłodszy syn jego Jan, mógł mieć lat około 9-ciu, po nim szła Krysia, dalej 14-letni Onufry i 15-letnia Józia. Pan miecznik o wysokiej postaci i dobrej tuszy, lubo dziś ziemianin mazowiecki, ale jako urzędnik dawnej ziemi Mielnickiej miał na sobie kontusz podlaski jasno-granatowy z karmazynowymi czyli szkarłatnymi wyłogami i biały żupan, w którego gęstych guzikach lśniły się brylanty. Czapkę miał wysoką „rogatkę“ odpowiednią żupanowi, zatem białą, z czarnym barankiem. Chłopcy ubrani byli w kurtki z tyłu rozcięte. Drugi dom Mleczków tworzył rodzony brat miecznika, pan Kazimierz szambelan stanisławowski, dziedzic Wybran, skąd przybył kolasą z małżonką swoją (z domu Czosnowską), z córką Salusią i synem Eustachym. Szambelan równie rośły jak miecznik powtarzał często przysłowie „kochanulu“, miał kontusz mazowiecki ciemno-granatowy z wyłogami i kołnierzem karmazynowym a żupanem słomistym, pas lity z tłem i frendzlą tejże barwy co wyłogi. Zawsze bowiem pas odpowiadał wyłogom kontusza, a czapka żupanowi. Tylko butów nie noszono już za Księstwa Warszawskiego kolorowych ale czarne, ani karabel przy boku. Czapkę miał oczywiście wysoką „rogatkę“ z cienkiego sukna, a u koszuli pod szyją złotą spinę z dużym brylantem, otoczonym mniejszymi. Szambelan miał pięciu synów, z których Marcin i Aleksander, mieszkający za Bugiem, nie byli na weselu. Ferdynand zaś i Antoni stanowili już oddzielne domy i przybyli z małżonkami. Pierwszy ożeniony z podkomorzanką Kossowską z Kossowa podlaskiego mieszkał w Zbrzeźnicy. Małego wzrostu, szczupły, wystrojony z cudzoziemska, szpetny i dość ograniczony. Obok skromnej juchtowej kolasy szambelana kocz Ferdynanda, który na swój ślub był sprawił, olśniewał blaskiem złożonych bronzów, szprynglów i srebrnych ozdób, na które dał fabrykantowi do przerobienia różne stare

srebro domowe, z wielkiem zgorszeniem podwojewodzego. Antoni ożeniony z Bykowską ze Stawisk miał pobliskie Otole, skąd przyjechał z żoną koczem w przeddzień ślubu.

Piątym domem, który zjechał do Pęś na gody weselne, jeszcze na dwa dni przed ślubem, byli szambelanostwo Szczukowie. Pan Antoni z dwoma dorosłymi synami Dominikiem i Andrzejem, dziedzic Ciechanowca, Bojenki, Nowodworów, Kozarzów nad rz. Nurcem a Kótowa i Srebrowa w Biebrzoniskiem, był człowiekiem do szpiku kości prawym i wielkim przyjacielem podwojewodzego. Zażyłość szambelanostwa z Dobrzyńceckimi miała swoje dawne powody. Gdy Antoni Szczuka zamłodu mieszkał jeszcze w pobliskich Pęsom Dobrochach, zakochał się i ożenił ze Średnicką (z Gieralt), niepospolitej urody panienką, którą jako daleką krewniaczką opiekowali się podwojewodzostwo i wyprawili jej sute w Pęsach wesele. Szambelan musiał z dawnego jakiegoś urzędu należeć do hierarchii ziemi Chełmskiej, bo nosił się w kontuszu zielonym z czarnymi aksamitnymi wyłogami i żupanie słomistym. Mówiąc powtarzał często: „atande mości dobrodzieju“, lub: „mości dobrodzieju ałem tedy,“ skracane w pośpiechu na „mosembeju.“ Miał przytem w domu swoim nieestetyczny zwyczaj rozwieszania na swych plecach zatabaczonej chustki, aby prędeej wysychała. Szczukowie mieli oprócz dwóch synów córkę Rózię, którą już od lat paru wydali za starościca Ksawerego Rydzewskiego, tego samego, w którego domu dla pośpiechu uszyto część wyprawy pannie młodej. Przybyły na wesele staroście z żoną był dziedzicem znacznej fortuny, ale człowiekiem dość płytkiego umysłu i hulaką. Postać jego mała, napuszona, z wielką głową, w granatowym fraku i żabotach dziwną stanowiła sprzeczność obok wysmukłej kibici prześlicznej jego małżonki. Powtarzał ciągle przysłowie: „tego, tego, do tego.“

Za Stanisława Augusta była taka moc w Koronie szambelanów, jak na Litwie marszałków. Nic też dziw-

nego, że na weselu w Pęśach obok Szczukowej i Mleczkowej (czyli jak dawniej wymawiano: Szczuczyny i Mleczczyny) znalazła się jeszcze trzecia szambelanowa Maleszewska z Dobroch, wdowa, bezdzietna, przybyła z pasierbem swoim Tomaszem Maleszewskim (który wkrótce potem sprzedał Dobrochy Glogerowi, dziadowi piszącego). Przybyli także na wesele krytą bryką młodzi państwo Podbielscy z Jawor, z dwiema jego siostrami. Pan Wawrzyniec ożeniony z Kobylińską, do której rodziców należało Kybylino-Kuleszki, miał aż czterech braci. Dwóch z nich Nikodem i Antoni zaciągnęli się za „czasów pruskich“ w służbę wojskową. Antoni był już rotmistrzem kawalerii pruskiej, gdy raz przyjechał na urlop w Łomżyńskie i tu ożenił się z panną Borkowską. Nikodem służył w piechocie i ożenił się z Niemką. Synem jednego z nich był słynny szef sztabu armii niemieckiej w wojnie z Francją r. 1870—71. Skarbniczkiem, w modnym fraku przyjechał brat pani Wawrzynicowej miecznikowiez Kobyliński, który konkurował wówczas do panny łowczanki Budziszewskiej z Puchał i spodziewał się zastać ją na weselu. Z najbliższej rodziny przybył pan Gronostajski w kontuszu mazowieckim, ożeniony z Anielą najstarszą siostrą panny młodej, właściciel dwóch folwarczków w Gronostajach i Baczach.

Ogółem na 17-tu dojrzałych uczestników wesela, było (wliczając pana młodego) 8-miu jeszcze w stroju polskim, a 9-ciu już we frakach, kapeluszach, pończochach i trzewikach, słowem, istne dwa oddzielne narody. Ale z czupryną podgoloną i przy karabeli był już tylko w tej całej kompanii jeden wysoki, chudy, kościsty, a prosty jak trzcina, choć już 81 letni, o marsowej pozornie, a w gruncie dobrotliwej, dziwnie typowej polskiej twarzy, pan podwojewodzy. Szereg gości weselnych dopełniał proboszcz z dwoma wikarjuszami z kościoła parafialnego w Rutkach, którego kolatorami byli: podwojewodzy i zmarły przed 3-ma laty kasztelan, a po nim zięć jego Rajmund Rembieliński, obecnie intendent zwy-

ciężkiej armii księcia Józefa Poniatowskiego w wojnie z Austrią. Proboszcz Teofil Sokołowski, wykształcony i zacny pijar, musiał być długo pasterzem tej parafii, skoro państwu Dobrzyńickim 8-ro dzieci ochrzcił, czworo z nich pochował, czterem pozostałym córkom dał śluby i ich dzieci chrzcił jeszcze.

Od gości przechodzimy do kapeli, bez której nie byłoby u nas godów weselnych. Staranie o nią należało zawsze do pana młodego. Jakoż na dwa tygodnie przed ślubem pojechał pan Maciej do Warszawy, aby zakupić dary ślubne i zamówić muzykę. Bryką poczwórną wyprawioną na tydzień przed ślubem do stolicy, zwieziono kapelmistrza Zarzeckiego i czterech jego synów, którzy grywali w orkiestrze teatralnej. Byli to młodzieńcy pólserowni i elegancko ubrani. Dwóch odznaczało się niezwykłą urodą. Ojciec grał na „basetli“, synowie na oboju, klarncie i dwóch na skrzypcach. Umówieni byli każdy po dukacie na dzień, czyli pięć dukatów dziennie na dni 6. Przywieziono ich z Wojn do Pęs w nocy z niedzieli na poniedziałek, tak, że rano wilją ślubu, gdy jeszcze spała „Jagulka“, kapela zabrzmiała pod jej oknem wesołą serenadę na „dzień dobry“.

Ponieważ zwyczajem dawniej dość powszechnym, panna młoda była po urodzeniu ochrzczona tylko „z wody“, a ceremonję odłożono do wyjścia zamaż, ksiądz Sokołowski zaś objaśnił, że dwa sakramenty nie mogą być jednej osobie udzielone w dniu jednym, chrzest zatem z ceremonii odbył się w przeddzień ślubu. Po obiedzie pojechano gromadnie do kościoła, gdzie w pierwszą parę trzymał Jagulkę pan miecznik Mleczek z piękną starościcową Rydzewską, a w drugą staroście z szambelanową Szczukową. Była i trzecia para, ale to już tylko tak sobie. Panna młoda ubrana była do chrztu w bieli i do gorsu. Po powrocie do domu cały wieczór tańczono i w noc do godz. 3-ej, jak zwykle w ostatni wieczór przedślubny na pożegnanie dziewiczego stanu Panny mło-

dej, której towarzyszyło 6 druchen, (3 Mleczkówny, 2 Podbielskie i młodsza jej siostra).

Podczas tego wieczoru przysłał pan Maciej ślubne dary dla narzeczonej. Podług zwyczaju przyjętego, były one następujące: 1) pierścionek z topazem, otoczonym 12-tu brylancikami; 2) wspaniałe „bicz“ korali (nie nazywany wówczas sznurem); 3) szal karmazynowy ze szlakami, haftowany ręcznie jedwabiem i pelą; 4) chustkę dużą jedwabną; 5) drugą chustkę białą tybetową; 6) trzecią chustkę muslinową haftowaną zlekką złotem i ostebnowaną niebieskim jedwabiem; 7) sztukę białego, haftowanego perkalu na letnik; 8) trzy pary białych, jedwabnych rękawiczek, długich za łokcie; 9) trzy pary białych jedwabnych pończoch; 10) trzy pary białych atlasowych trzewików; 11) sztukę białej, szerokiej atlasowej wstęgi. Oprócz tego na osobnym wozie przywieziono kilkadziesiąt donic prześlicznych kwiatów, (które pan młody kupił w Klukowie w ogrodzie Starzeńskich). Ogólny podziw wzbudzały mało jeszcze wówczas rozpowszechnione po domach szlacheckich, bogato osypane wonnym kwiatem białe dubeltowe lewkonje. Zwyczaj obdarzania panny młodej mnóstwem podarków natury praktycznej, był tradycją z zamierzchłych czasów piastowskich, w których nie rodzice wypłacali posag zięciowi, ale młodzian osypywał darami rodziców, za to, że mu dziewczkę oddawali.

Po tanach dziewiczego wieczoru, wszyscy spali dłużej. Jedna tylko podwojewodzyna i sędziwy jej małżonek, zaledwie trzygodzinnego snu zażywszy, krzątali się od wczesnego rana, bo było koło czego wobec tylu gości, którzy choć z bliskiego zjechali się sąsiedztwa, ale starym zwyczajem, aby nie rozprzegać uroczystości, nie odjeżdżali na noc do domu. Około 9-ej rano kapela Zarzeckich zagrzmiała znowu serenadą pod okienkiem Jagulki, do której pokoiku zeszły się teraz panie: Rydzewska, Szczukowa i inne, jako swachy weselne i od godziny 10-ej do 12-ej w południe ubierały pannę młodą

do ślubu. Suknia ślubna z białego ptifenu w małe muszki (wchodzącego wówczas w modę, a kupionego w Elcku po 6 zlp. za łokieć), wążka „w kliny“, z krótkimi rękawami, miała ogon długi na 3 do 4 łokci. Na jej przodzie naszyte były z szerokiej, białej, atlasowej wstążki dwa jakby słupy, co dawało podobieństwo fartuszka. Na krótkich rękawkach było z takiejże wstążki po 4 pasy. Spódnica u dołu obszyta była pasem białego, „szejpanego flurensu w kontrafaldki“. W pasie była Jagula przepasana także białą atlasową wstęgą. Na ręce włożono jej owe sięgające pod ramiona białe, jedwabne rękawiczki. Bujne, ciemno-blond włosy uczesano wedle ówczesnej mody w trzyczędne loki od twarzy krótsze, a ku tyłowi dłuższe. Z tyłu ogromny warkocz skręcony był w ślimak i zapięty wysokim, ozdobnym szyldkretowym grzebieniem. Obok tego modnego uczesania przybrano głowę zwyczajem staropolskim w koronę, uszytą z cennych klejnotów pani Rydzewskiej, które w tym celu do Pęs przywiozła. Korona ta z drucików białą materją powleczonych, mająca około trzech cali średnicy, składała się z obręczy i 4-ch nad nią liści, złączonych wierzchołkami u stropu. Klejnoty poprzyszywane były do białej materji na obręczy i liściach. Podstawę tej korony stanowił przypięty do włosów na ciemieniu mały ruciany wianek, podług odwiecznego zwyczaju polskiego. Dla ozdoby zewnętrznej, głowę dokoła korony otaczała girlanda z mirtu, nieco ku tyłowi zwieszona i tam spięta kokardą z białej wstążki, której dwa długie końce spływały na plecy. Welony nie były jeszcze wówczas w modzie.

Przed samem południem zajechał przed dwór pęski z gwałtownem trzaskaniem bata pan młody w poczwórnej kolasie ze swoim swatem, przybrani obaj w kontusze byłego województwa Podlaskiego i z synowcem sędziego we fraku. Stoły były już nakryte na osób 40 i gdy Jagula ukazała się w ślubnej sukni i ze smętnym uśmiechem powitała pana Macieja, pousadzano wówczas gości

i podano dwojakie śniadanie: gorące i zimne. Po obfitym posiłku, około godziny 2-ej, kazano zaprzęgać do pojazdów, a gdy dzielne cugi podjeżdżać zaczęły, rozścielono stary perski kobierzec na podłodze w „pokoju bawialnym“, i poczęło się błogosławienie młodej pary. Na tym kobiercu stanęli najprzód poważni podwojewodzostwo, przed którymi ukłękli państwo młodzi i uściśnęli ich kolana. Pobłogosławieni, przeżegnani i podniesieni, podchodzili do innych stojących w koło starszych małżeństw i osób i wszystkim pokolei oddawali niski pokłon, od wszystkich otrzymując serdeczne życzenia i błogosławieństwa. Starsi błogosławiąc, całowali pannę młodą w głowę, która usiłowała stłumić w sobie płacz rzewny. Wąsacze płakali także, jak bobry. Podwojewodzy wręczył żonie dukat dawny polski, a ta wraz z małym kawałkiem chleba i cukru, zawinawszy go w papierek, jako symbol dostatku i słodkiego pożycia na wiek cały, włożyła za gors córce w chwili, gdy ta poraz ostatni jako panna, miała opuścić próg rodzinny. Druchnom, družbom i państwu młodym poprzipinano bukieciki z rozmarynu, mirtu i kwiatu pomarańczowego. Po chwili, długim łańcuchem posuwały się kolasy i skarbniki po drodze, wiodącej do Rutek przez półmilowy, ciemny, głuchy, górą niebotyczny, dołem zwarty i zawalony odwiecznymi łomami bór podwojewodzego.

Rodzice dawnym zwyczajem, na ślub córki nie pojechali. Wiozła ją w swojej karecie szambelanowa Szczukowa z dwoma druchnami. Pan młody jechał samowtór z panem Idzikowskim jego powozem, swój oddawszy innym družbom. Pannę młodą prowadziło do ołtarza dwóch szambelaniców: Dominik Szczuka i Eustachy Mleczek; pana młodego dwie druchny panny młodej. Po dopełnionym ślubie i serdecznem, rozrzewniającem przemówieniu księdza Sokołowskiego, pan młody, wzięwszy żonę pod rękę, obszedł z nią dokoła ołtarz, przy czem rzucił dukata do skarbony kościelnej „na ofiarę“, pierwaj już bowiem zapłacił drugiego dukata za ślub

i światło proboszczowi. Od ołtarza odprowadzili panią młodą, chrzestny jej ojciec miecznik Mleczek i staroście Rydzewski, a pana młodego dwie swachy: Szczukowa i jej córka, Rydzewska.

Po powrocie z kościoła, zastano już stoły nakryte do uczty weselnej, którą podano około godziny 7-ej wieczorem. Państwa młodych posadzono obok siebie na miejscu najstarszem w końcu stołu. Dalej siedziały naprzemian swachy z kontuszczołami, czyli swatami, w młodszym końcu naprzemian drużbowie i druchny. Na ucztę złożyło się wszystko podwójne, a więc zupa biała i rumiana, sztuka mięsa biała i rumiana, potrawy z kapłonów i kaczek, pieczone z sarni i jarząbków, których wielką obfitość posiadał bór pęski. Na końcu podano dwojaką leguminę z jakichś pian i konfitur, bo galaret i kremów jeszcze wówczas nie używano po domach staropolskich. Wino krążyło trojakiem: węgierskie, wytrawne, muszkatel i szampańskie. Podwojewodzy, gdy mu na poprzednich weselach dwóch córek wysuszono piwniczkę, sprowadził na gody Jaguli i przewidywane wesele najmłodszej Anieli dwie beczki węgrzyna z Warszawy i z Gdańska antalek słodkiego muszkatelu dla niewiast. Pan młody zaś przywiózł z Warszawy dwa kosze szampana, który za Księstwa Warszawskiego przez bliższe stosunki z Francją wchodził w modę, ale przez pana podwojewodzkiego nazywany był „limonadką francuską“, niezdrową dla polskiego żołądka. Oboje gospodarstwo nie zasiedli z gośćmi do uczty. Zwyczaj bowiem staropolski wymagał, aby w razie większego zebrania czuwali nad usługą gości. Podwojewodzy nie chował lokai, tylko hajduków i „węgrzynka“, którzy więcej do gospodarstwa, stajni, łowów i posyłek służyli niż do stołu. Ale dziś usługiwało pięciu lokai (dwóch miało nawet białe „jerszane“ rękawiczki), których przywieźli z sobą Szczukowie, Mleczkowie, Rydzewscy i pan młody. Był bowiem zwyczaj, że na liczne zebrania przywożono z sobą służbę. Wykonywali oni rozkazy,

wglądającej w każdy drobiazg podwojewodziny, gdy sam pan Dobrzyński przez cały czas obiadu weselnego nie wypuszczał z ręki cynowego dzbanu z winem, nalewając wszystkim węgierskie lub muszkateł, a tylko szampana oddał lokajom do nalania. Na stole stały do miodu lampki i dzban szklanny, zwany „smokiem“ z koroną na wierzchu, a wewnątrz rurką, która wychodziła skrycie pod uchem. Podczas całej uczty kapela przegrywała bez przerwy, tak jak to bywa dzisiaj jeszcze u ludu wiejskiego, który zwyczaj ten przejął niegdyś od szlachty i tak dalece czuwa, aby muzyka nie umilkła, że w niektórych stronach druchny same nakładają w usta grajkom mięsiwo, aby nie odrywali się od gędźby. W Pę-sach po uczcie a przed rozpoczęciem tańców zastawiono Zarzeckim obfity posiłek.

Tu wspomnieć musimy słów kilka o weselnych strojach niewiast. Były one takie, jakie nakazywała ówczesna moda zagraniczna. Panie i panny, czyli swachy i druchny miały suknie wąskie „w kliny“. Wszystkie druchny były w bieli, z włosami uczesanymi w loki, jakie opisaliśmy u panny młodej. Niektóre zamiast war-kocza zaplecionego w ślimak z tyłu głowy, miały z włosów 4 kokardy. Nazajutrz ubrały się kolorowo, zawsze jednak tak, żeby trzewiki, pończochy i suknia były jednego koloru. Mężatki przybrane były w czepki białe z tiulów deseniowych i koronek, ozdobione zlekką kwiatami i wstążkami. Kolorowych czepków wcale wówczas nie używano, a czarne tylko w żałobie.

Gdy kapela napelniła do syta swe żołądki, kontuszowcy dali hasło do poloneza, od którego każdą zabawę w Polsce rozpoczynano. Polonez weselny miał urok tańca symboliczno-obrzędowego. Pan miecznik Mleczek, ojciec chrzestny Jaguli, wzięwszy rogatywkę do ręki (z czapką bowiem zwykle poloneza tańczono) poprowadził w pierwszą parę panią młodą, a okrążywszy salę i okręciwszy się parę razy z tancerką, oddał ją z uprzejmym gestem do ręki matce rodzonej. Ta przetańczyła

z swoją córką i wręczyła ją ojcu. Starzec pokręcił wężsa, zarzucił wyloty i z uroczą córką na czele prowadził dzielnie posuwisty korowód, przeciągając go dłużej i dłużej, bo już go tańczył z Jagulą raz ostatni. Potem nagle się zwrócił, oddał ją ze stanowczym gestem panu młodemu i wylotem kontusza otarł szybko łzę z siwej rzęsy. A to było właśnie zakończeniem tego uroczystego poloneza. Po poważnym „tańcu polskim“, szedł dziarski mazur, od którego chołubców trzęsły się stare ściany i zielone piece dworu pęskiego. Rozochoceni przypominali sobie starodawną „szumkę“ do mazura podobną i prawdopodobnie będącą prototypem mazura, ale już za czasów stanisławowskich zarzuconą. Potem tańczono tańce modne, a mianowicie walea, wprowadzonego u nas za czasów [pruskich, kontredansa, upowszechniającego się dopiero za Księstwa Warszawskiego i najmodniejszego w owej dobie angleza. O polce nikt jeszcze wówczas nie słyszał, bo taniec ten czeski, tak nazwany nie od polskości, ale od tego, że był tańcem pasterzy czeskich w polu, upowszednił się dopiero u nas w latach 1825 — 1835. Jakby na pożegnanie stanu panińskiego panny młodej, wszyscy, nietylko młodzi ale i kontuszowcy, usiłowali jaknajwięcej z nią hasać, tak, że nie dano biedaczce spocząć ani na chwilę. Jeden tylko pan Maciej, otrzymawszy w polonezie żonę z rąk ojca i okręciwszy się z nią podwakroć, już więcej z nią nie pisał. Dla ochłodzenia obnoszono lemoniadę i orszadę. Od tancerzy nie wymagano wówczas, aby mieli wszyscy białe rękawiczki. Jedni zatem mieli białe „jerszane“, drudzy czarne, inni cielistego koloru.

Nad ranem po wielu mazurach i anglezach, otworzono szeroko podwoje od sypialni, gdzie na państwa młodych oraz wszystkich żonatych gości i panie zamężne, oczekiwała „cukrowa kolacja“. Pan sędzia Idźkowski, jako „swat“, a więc i jakby mistrz obrzędów weselnych dał znak staremu Zarzeckiemu, który zrozumiawszy go, w tejże chwili zagrzmiał z synami odwiecz-

nego poloneza, sędzia zaś ująwszy zapaloną Jagulkę z prawej strony, a podwojewodzy z lewej, ruszyli posuwisto w pierwszą parę na czele wszystkich żonatych i mężatek uroczystym tańcem do cukrowej wieszczy. Komnata, zwana po staropolsku „łożnicą“, była starym zwyczajem rzęsiście oświetlona światłem jarzącem, czyli świecami z wosku jarego (podbieranego w ulach pasieki pęskiej, zanim plastry miodem wypełnione zostały). Cała przybrana była w bukiety, girlandy i wazony kwiatów, w których silnej woni dominowały białe lewkonje z ogrodu Starzeńskich. Przy jednej ścianie stało białe lakierowane łóżko pod namiotem czyli kotarą z białego muslinu. W pośrodku komnaty na dużym stole zastawione były cukry, konfitury smażone w miodzie, wina i ciasta, wśród których dominował kolisty tort marcypanowy, zwany dawniej od swego kształtu „kołaczem“ lub wprost „marcypanem“.

Najprzód pannę młodą usadowiono na oddzielnym fotelu do „oczepin“, a gdy pani Rydzewska zaczęła odpiąć z jej głowy koronę z klejnotów, girlandę mirtową i ukryty we włosach obrzędowy ruciany wianeczek, wówczas siedmiu kontuszców huknęło silnym głosem starożytną pieśń oczepinową:

„Oj chmielu, chmielu, ty bujne ziele“.

Wianeczek ruciany z mirtową girlandą oddano do rąk panu młodemu, a pani podwojewodzyna zaszyła go nazajutrz w pościel córki. Gdy pani Rydzewska przystąpiła do milczącej Jaguli ze strojnym białym czepeem, wówczas stary podwojewodzy zawołał do córki: „Nie daj sobie włożyć Jagulku czepka, nie daj!“ Jakoż pani młoda z oczami pełnemi łez, usiłowała kilkakrotnie odepchnąć kładziony jej na głowę czepec, bo tak i siostry jej starsze, wychodząc zamaż przy oczepinach czyniły. Ale skończyło się oczywiście na oczepieniu i uśmiechu. Teraz zaczęły się wiwaty, pijatyka i śpiewy, głośniejsze przez muzykę w salonie, która przygrywała młodzieży, tańczącej tam w dalszym ciągu. Każdy podnosząc toast,

wstawał z napełnionym puhaem w rękę i miał albo krótką przemowę, albo śpiewał zastosowaną do toastu zwrotkę. Najwięcej się rozśpiewał pan staroście Rydzewski i teściowa jego szambelanowa Szczukowa. Oboje śpiewali pieśń, którą do dziś lud w tych stronach śpiewa na weselach:

„Zosiu, ach już cię tracimy“ i t. d.

Kontuszowcy śpiewali kilkanaście innych dawnych pieśni i piosnek, jakimi brzmiały wesela szlachty polskiej w dawnych wiekach, a które od lat kilkudziesięciu rzadko już słyszeć się dawały i tylko pan podwojewódzcy wybornie ich słowa i nutę pamiętał. Dla panien i kawalerów zastawiona była tymczasem gdzieindziej wieczerza mniej słodka, po której zakończono tany „białym mazurem“ i czerwonym barszczem na śniadanie.

Gdy pan Maciej Wojno opuścił rano sypialnię, kucharz weselny zwyczajem staropolskim przyniósł dla pani młodej do łóża filiżankę gorącej winnej polewki, za co otrzymał od pana Wojny dukata. Panny nie pijały nigdy winnej polewki, tylko mężatki „na wzmocnienie“. Kiedy oboje młodzi wyszli do zebranych już gości, wszyscy kolejno przy „dzieńdobrem“ składali im życzenia na cały ich wiek. Pani młoda miała w dniu tym suknię popielatą bez ogona, pierwszą w życiu jedwabną, bo dziewczęta u szlachty polskiej nigdy jedwabnych szat nie nosiły. Druchny miały także sukienki już nie białe ale kolorowe. Jeszcze całą środę, t. j. dzień poślubny tańczono i dopiero wieczorem poczęto się rozjeżdżać, zobowiązując się panu Maciejowi przybyć do Wojn na „przenosiny“ w niedzielę. Państwo młodzi wyjechali razem, bo pani Szczukowa zabrała we czwartek panią Maciejową do siebie, aby u niej mogła się w Ciechanowcu przez parę dni wywczasować i razem do Wojn na przenosiny niedzielne przyjechać. Pan Maciej jednocześnie odjechał, zabierając z sobą pięciu Zarzęckich, aby także wywczasowali się na niedzielę po swojej podróży z Warszawy i po trzech dobach pracy gędziebnej. Jedna

tylko pani podwojewodzyna dała dowód sił iście niespożytych, bo zaproszona przez zięcia, pojechała zaraz we czwartek do kawalerskiego jego domu, gdzie nagromadzone były zapasy i oczekiwali kucharze na urządzenie przyjęcia jeszcze liczniejszych, niż na weselu gości.

Sprawdziło się stare przysłowie, że „w Polsce od króla Lecha, trzy dni trwa każda uciecha“ i stary obyczaj trwania godów weselnych przez cały tydzień, bo hulano w Pęсах całe trzy dni, a z przenosinami w Wojnach wesele trwało cały tydzień. Na przenosiny zjechało się do Wojn znacznie więcej gości niż na wesele do Pęs. Oprócz bowiem sąsiedztwa państwa Dobrzyńskich, które poznaliśmy w Pęсах, a które w zupełnym komplecie osób 40-tu podażyło do Wojn, przybyło tam jeszcze kilkanaście osób z sąsiedztwa pana młodego, które nie były w Pęсах. Byli to dwaj panowie Starzeńscy Józef i Maciej, synowie Michała, starosty brańskiego, dziedzica Kuczyna, Klukowa, Strabli, Pietkowa i t. d.; także dwaj stolnikowicze Szepietowscy (dziedzice Szepietowa, Mazur, Dąbrówki, Leniewa i t. d.) z siostrami: panną Aleksandrą, osobą bardzo wykształconą i Małgorzatą, już nie pierwszej młodości. Wojny graniczyły z Szepetowem, a i Wojnowie byli z dawnych czasów spokrewnieni z Szepietowskimi. Mianowicie pradziad pana Macieja, także Maciej, który nie mało krwi przelał pod Sobieskim, ożeniony był z Małgorzatą Drozdowską (z Drozdowa pod Łomżą), która mając z nim 2 córki i syna Ludwika, owdowiawszy, wyszła za Szepietowskiego, skarbnika ziemi Bielskiej i miała z nim syna Stanisława.

Uczta przenosinowa sporządzona przez dwóch najętych kucharzy, pod zarządem tak biegłej gospodyni jak podwojewodzyna, była suta i mniej więcej taka sama jak weselna. Kuchnia bowiem staropolska była bardzo konserwatywna i nie poszukiwała nowości. Szlachta lubiła jeść dużo i smacznie, ale gardziła zagranicznymi frykasami. Kto z puhaem w ręku podnosił się do wypicia

czyjego zdrowia, zwykle śpiewał jakąś zwrotkę toastową, której melodię przygrywała mu kapela. Jeden ze stolnikowiczów Szepietowskich śpiewał toast następujący:

Kto zdrów, kto dobrze pije,
Kto jest przyjaciel prawdziwy,
Niechaj to zdrowie wypije,
Wiwat dom Wojnów pocziwy!

Po uczcie tańczono przez noc całą. Zdrowia dam wychylano tak samo, jak w Pęсах, przyklękając przed nimi i stawiając kielich w zdjętym z nogi damy trzewiezu. W tańcu przyśpiewywano wesole piosnki, co było odwiecznym obyczajem szlacheckim i narodowym, przechowywanym jeszcze tu i ówdzie za Księstwa Warszawskiego po domach staropolskich, ale uważanym już jako parafianiszczyzna w salonach stolicy. Podług słów babuni, opowiadającej wszystkie te szczegóły swemu wnukowi — nie da się wyśłowić ani wyobrazić tym, którzy nie widzieli, owa dawna ochoczość zabaw wiejskich, owa ludzkość, szczerłość w obcowaniu i serdeczność towarzyska szlachty mazowieckiej i podlaskiej, nie dopuszczająca nigdy w chwilach podobnego nastroju, do robienia najmniejszych różnic pomiędzy szlachtą bogatą a uboższą. Były to enoty wysokiej wartości, bo dawały społeczeństwu ziemiańskiemu potężną siłę asymilizacyjną, która urabiała z rozmaitych żywiołów prowincjonalnych, a nawet obcych, jednolity i bardzo charakterystyczny typ szlacheica polskiego.

Dwór w Wojnach był tak samo ciasny, bo z pięciu komnatek złożony, jak w Pęсах. Na krótki więc wypoczynek po całonocnem hasaniu udali się mężczyźni na siano, przygotowane w stodole, a panie do alkowy, alkierzyków i lamusa, który stał w ogrodzie tuż za dworem. Gość co miał pięć wiosek, legł jak z bratem, na sianie razem z tym, co miał pół wioski, prawda, że obaj byli nieco starym miodem wojnowskim rozmarzeni. Po niedługim wywezasie hasano jeszcze przez dzień cały.

Że zaś uprzykrzyły się tanecznikom dość ciasne pokoiki pana Wojny, a pogoda sierpniowa sprzyjała, pośpieszono więc zwyczajem przyjętym na przenosinach staropolskich „obtańczyć“ nie tylko cały dwór i lamus dokoła, ale nawet w folwarku izby czeladne, sienie, śpichrze, ogród i wszystkie budynki gospodarskie, a to, jak mówiono, aby państwu młodym całe życie było tak wesołe wszędzie, gdzie tylko stąpi ich noga. Kapela warszawska musiała wszędzie biedz za hasającymi, których śpiewem brzmiał ogród i podwórza. Babunia mało już którą z tych śpiewek pamiętała, na usilne jednak domaganie się wnuka, zanuciła to, co śpiewał pan Józef Starzeński:

U naszej jejmości
Poświęcane kości,
Nikommu nie wolno
Tylko jegomości.



E P I L O G.



Od opisanego powyżej wesela do chwili, w której sędziwa babunia składała egzamin wybornej swej pamięci przed wnukiem, upłynęło lat blisko 60, do czasu zaś, w którym cały foljał notatek ówczesnego studenta został odszukany i dziś przepisany do druku, upłynęło lat 93. W życiu społecznem jest to czas wystarczający na tysiąc zmian różnorodnych, które zaszły i o których wzmianką w tym epilogu zakończymy niniejszą kartkę z dziejów okolic naszych rodzinnych.

Pęsy z borami, stanowiące macierzyńską schedę podwojewodzego z dóbr mężńskich, nabyte od niego przez państwa Rajmundostwa Rembielińskich zostały połączone w dawną całość. Ale pani Rajmundowa była

bezdzielną i postanowiła z przyczyn, o których niżej zrobimy wzmiankę, rozwieść się z mężem choćby za cenę oddania mu prawie wszystkich swoich majątków. Jakoż rozwód nastąpił ze zrzeczeniem się wszystkich dóbr żony na rzecz męża z wyjątkiem tylko dóbr mężeńskich. W rok później pani Rembielińska poślubiła pułkownika wojsk polskich Józefa Bechona (Beszona), człowieka równie jak Rembieliński wszechstronnie wykształconego a przytem utalentowanego. Niepospolity talent malarski odziedziczył Bechon po swoim ojcu, który jako słynny miniaturzysta włoski, zachęcony przez króla Stanisława Augusta osiadł był w Warszawie i cieszył się wielkiem powodzeniem, portretując na kości słoniowej i pergaminie biust króla, wszystkie piękne damy stolicy i dygnitarzy kraju. Podwojewodzy, mieszkając w wymówionych sobie dożywotnie Pęсах, dożył lat bardzo sędziwych w czerstwym zdrowiu, bo zaczawszy 10-ty krzyżyk wieku jeździł jeszcze konno na spacer. I byłby pewnie dożył setki, gdyby nie nieszczęśliwy wypadek. Pewnego dnia przyjechał do Pęs pan Bechon i namówił wuja swej żony do wspólnego spaceru powozem. Konie były lekkie i zbiegawszy się, wyrzuciły z nimi pojazd. Od owego wypadku starzec zaniemógł i w kilka miesięcy potem umarł, mając skończonych 95 lat życia, a było to w r. 1823. Wówczas Bechon odrysował głowę konającego, wspartą na poduszce. Z pięknego tego rysunku widzimy, że ten typowy, duszą i ciałem, w całym tego słowa znaczeniu, polonus, podgałał wysoko głowę do ostatniego dnia życia, a jak babunia powiada, że był ostatnim, który zachowywał ten zwyczaj w swoim powiecie.

Do powtórnego zamążpójścia kasztelanki Opackiej stosowano przysłowie o trafieniu „z deszczu pod rynnę”. Gdy bowiem pierwszy jej małżonek był w pożyciu człowiekiem bardzo miłym, a tylko tem naraził ją sobie, że starał się być jeszcze miłszym dla innych pięknych dam świata warszawskiego, to Bechon nie tylko, że dobrą

żonę odsunął we własnym jej domu na plan dalszy, ale, wszedłszy do pełnej dostatków rezydencyi, stał się dla swojej dobrodziejki despota, skąpcem i tyranem. To wywołało separację, wyjazd Bechona na mieszkanie do Warszawy i kłopoty niewieście z zarządem dóbr mężeńskich. Tymczasem pan Rajmund ożenił się z przyjaciółką rozwiedzionej żony i w potrzebie służył pani Bechon za doradcę, sędziego w nieporozumieniach z jej dzierżawcami i opiekuna w sprawach jej majątkowych. Że zaś była bezdzietną, a brat cioteczny ojca Dobrzyniecki miał tylko córki i mnóstwo wnuków, co pociągałoby w razie sukcesyi i na rodzinę upadek całości dóbr, więc



Podwojewodzy Piotr Dobrzyniecki w chwili zgonu, z miniatury ołówkowej Józefa Bechona.

aby temu zapobiedz, pan Rajmund przeprowadził nabycie Mężenina dla swoich synów, których miał z drugiej żony, za cenę najdogodniejszego dożywocia dla pani Bechon, którego warunki sama sobie podyktowała. Gdy

w 87-ym roku życia umierała (d. 10 stycznia 1863 r. w Jeżewie, gdzie spędzała zwykle zimę u wnuczki Dobrzyńskich, Glogerowej), wzrok jej ziemski mógł widzieć, że dobra były jako tako utrzymane w całości i porządku, bory, ogrody, stawy, mury, aleje przedstawiały się wspaniale. W lat jednak kilka po zgonie pani Bechon, która obdarzona niepospolitym darem gustu i poczucia piękna, uczyniła Mężenin jedną z piękniejszych na Mazowszu rezydencji, odgłos siekier zwiastował wycinanie w pień wszystkich lasów, parków i alei. Majątek, który chętnie oddała za to tylko niekrewnym swoim, aby utrzymali jego całość, pańskość, piękność i cywilizację, rozpadł się na *kilkaset* zagród i szachownic zagorowych. Z dziewiętych borów w ciągu lat 10-ciu nie pozostało ani śladu, gdzie były najpiękniejsze widoki, cieniste ustronia i chłodne grotty, tam kwik nierogacizny nappełnił pobudowane wszędzie chlewy. Kto widział Mężenin za życia pani Bechon i w 10 lat po jej zgonie, ten mógł dopiero osądzić, w jak krótkim czasie mogą się zatrzeć do niepoznania prawie wszystkie ślady kulturalne pracy parowiekowej.

To samo zjawisko, tylko na mniejszą skalę, bo w szlacheckim folwarku, nastąpiło w Wojnach, gdy jedna z córek pani Maciejowej Wojnowej znalazła się w konieczności sprzedania pięciowiekowego gniazda Wojnów Szubów 30-tu zagrodowcom. A był to pierwszy przykład parcelacyi w gub. Łomżyńskiej.

Nie wszystko jednak z tej przeszłości ginie bez śladu. A jeśli chcesz się czytelniku o tem przekonać, to idź pomiędzy lud wiejski i zostań uczestnikiem jego godów weselnych. Jeżeliś świadom, jak podług obyczaju staropolskiego obchodziła wesele można szlachta w wieku XVI i XVII, a nawet jeszcze w r. 1809, to przekonasz się, że dzisiejsze wesele ludu naszego, jest prawie we wszystkich szczegółach echem tych obrzędów staropolskich, oczywiście do poziomu gwary ludowej, zamowności i umysłowości ludu zastosowanych. Nie jeden pa-

nicz, przez bony francuskie wychowany, spogląda z lekceważeniem i obojętnością lub wstrętem na ten obyczaj „chłopski“, nie wiedząc, że właśnie w tym ludowym obyczaju, w tych pieśniach i muzyce, sposobie zrękowin, rozplecin, w śpiewach przy uczcie, tańczeniu przepiórki, oczepinach, przenosinach i t. d. snuje się jedynie dotąd wierny tradycjom wątek życia jego pradziadów.





Rozkołysał mi bór duszę.



Rozkołysał mi bór stary duszę dziś jak dzwon,
Jakby w dzwonie uderzyło serce w pieśni ton,
Jakby w dzwonie grały w duszy dawnych wspomnień roje,
Wszystkie myśli i marzenia i kochania moje...

Bo ze wszystkich stron na duszę szedł mi istny czar!
Z tchnienia wiatru, co podnosił drzew przeciągły gwar,
Z szumu lasu, co się barwnie w blaski słońca stroił,
Tak zalotnie, że mi duszę rozmarzył – upoił...

Rozkołysał mi dziś duszę jak dzwon, stary bór,
I wczarował w nią swej pieśni harmonijny chór,
Chór potężny jak ta sosna, co w niej rej wodziła,
A pachnąca olcha biała wtórem szeleściła.

Do ich chóru biała brzoza swój łączyła szum,
Stary dąb – drzew wajdelota – najpiękniejszą z dum,
A zaś paproć tajemnicza najcudniejszą z baśni,
Kto mój kwiat pochwyti – szczęście żywot mu rozjaśni!

Rozkołysał mi bór stary duszę dziś jak dzwon,
Kiedy ptasząt zgodne chóry brzmiały z wszystkich stron:
To skowronek srebrnym głosem piosenkę szczebiota,
To znów derkacz gromkim krzykiem ozwie się z nad błota,



To słowika dźwięczy słodko zapóźniony śpiew,
Lub zagwiżdże gdzieś figlarnie wilga pośród drzew,
To znów basem wrona kracze, lub kukułka kuka,
Lub też dzięcioł krótko krzyknie i po drzewach puka.

Rozkołysał mi dziś duszę jak dzwon stary bór,
Gdy pod wieczór barw tysiące igrały wśród chmur
Od każdego drzewa padał cień wysmukły, długi,
Potem z nimi na konary przeszły światła smugi.

Potem tylko na wierzchołkach blask złotawy drgał,
A bór cały pożegnalny wielką pieśnią brzmiał.
Jeszcze chwilę ta pieśń boru rwała się ku słońcu,
Wreszcie zcichła, bór bladł z wolna i pociemniał w końcu.

Rozkołysał mi dziś duszę jeszcze więcej bór,
Kiedy księżyc jasną tarczą wypłynął z za chmur
I nasycił przestrzeń leśną srebrem swych promieni
Otulając ją w koronę z blasków swych i cieni.

Bo ta jasna, księżycowa, cicha, cudna noc
W piersiach nowe budzi siły, w myśli nową moc,
I już nie wiem co mnie bardziej upaja, zachwyca,
Bór w promiennych złotych blaskach słońca, czy księżyc?

Noelja.





1.

Ludzie kochający idee i za nie ginący, to dzwony, które do świątyń zwołują ospalców. Puchar męczeństwa spełniony przez siłę, wytrąca z rąk słabości czarkę lichego użycia.

2.

Choć trudno, idź naprzód; choć nisko, patrz wysoko; choć ciasno, duszę rozszerzaj! Dla kochanych bądź źródłem ofiary, dla zranionych oliwą gojącą, dla znużonych winem krzepiacem, dla skrzywdzonych lwem, który walczy i broni.

3.

Ogniwami, które łączą ludzi wszystkich plemion i wyznań, są: cierpienie, błąd i śmierć. Gdy powstaną trzy ogniwa inne: współczucie, współpomoc i współpraca, tamte utracą wiele ze swej tragicznej grozy.

4.

Są dwa działy natur ludzkich: chodzący i skrzydlaty. Człowieka, umiającego tylko chodzić, trzeba ciągle potrącać skrzydłem, aby nie zaczął pełzać, że zaś to potrącanie gniewa

i niecierpliwi, więc człowiek — ptak, ze sporą zazwyczaj ilością postrzałów świat ten opuszcza. Lecz gdy go już opuści, zaczyna się wspomnianie: jaki to był piękny, silny, szerokoskrzydły ptak! I niejednen z tych, którzy tylko chodzić umieją, ścigając okiem w górze szlak opustoszały, ani spostrzega, jak u własnych ramion jego wyrastają skrzydła.

5.

Kto węzłami uczuciowemi łączy się z przyrodą, kocha ją; kto węzłami temi łączy się z przyrodą ziemi rodzinnej, kocha oblicze matki.

6.

Nie o wszystkich, którzy patrzą na przyrodę, powiedzieć można, że ją widzą; nie widzą jej często ci nawet, którzy najwięcej o niej wiedzą. Jest o tem dowcipne przysłowie francuskie: *le chat régarde l'évêque, mais est ce que le chat voit l'évêque?*

7.

Kochaj śpiew słowika, choć w smutnem twem sercu rozlega się jak w ciemnicy; bo czyliż chciałbyś, aby słońce zgasło dla tego, że nie oświeca otchłani?

8.

Pisarzowi i artyście pożyteczniej jest mieć cierń w sercu, aniżeli opaskę na oczach.

9.

„*Poetis et pictoribus omnia licet!*“ Klamstwo! poetów i artystów okrąża koło magiczne, któremu na imię: odpowiedzialność! Gdy przez oko sieci muszka się wymknie, nikt o tem nie wie; gdy rozerwać je spróbuje skrzydło sokole, sieć pęknie i na świecie zagrzmi.

10.

Człowiek jest nurkiem, szukającym pereł w gorzkim morzu życia. Czy znajdzie perłę? pytanie; lecz że po gardło napije się gorzkiej wody, to niewątpliwe.

11.

Człowiek, jak zwierzę w lesie, nie wie nigdy, z którego drzewa gałąź na niego spadnie.

12.

Uczucia silne mają to podobieństwo z uderzeniami gromów, że czynią ludzi zajękliwymi, czasem niemymi.

13.

Pomiędzy rozłączających się ludzi oddalenie pada jak kamyk, mający z biegiem czasu urosnąć w górę.

14.

Jak w baśniach bogowie, tak w rzeczywistości poeci i artyści, posiadają cudowny dar przemieniania znikomości w nieśmiertelność.

15.

Z hańby jednego śmiertelnika wyrasta dla drugiego chluba. Jeżeli Papjusz ma twarz ciemną, błogo Pomponjuszowi, bo wygląda bielszym.

16.

Każdy ma swoją wyspę Ś-tej Heleny, a jest nią starość.

El. Orzeszkowa.





SOKÓŁ.

Byłem wtedy na drugim kursie paryzkiej szkoły prawa. Kilku nas zbierało się codziennie, koło piątej wieczorem, w kawiarni, a po zgraniu pewnej liczby partyi bilardu, udawaliśmy się „paczką” na dwufrankowy obiad do *Palais-Royal*. Imeśmy więcej nabierali wprawy w karambole, tem wybredniejszymi stawaliśmy się co do bilardów. Umyśliliśmy wreszcie zbierać się w *Grand-Café*, na bulwarze Magdaleny, gdzie bilardy są sławne, niezwykle wielkie, a przytem niesłychanej czułości: tam „fukse” nic nie pomogą, a tylko prawdziwa sztuka. Było to daleko od naszego *Quartier latin*, ale co to znaczyło dla naszych nóg!

Po kilku dniach zauważyliśmy w *Grand-Café* dużego, złotego psa, stale się wylegującego u wejścia do sali bilardowej.

Był to wyżeł, lecz nie czystej rasy, o grubych kształtach, ciężkim łbie; sierść miał krótką, nierówną, na grzbiecie do szczeciny podobną; musiał być stary, sądząc tak z ociężałości ruchów, jak z pyska po same oczy osiwiąłego. Od czasu do czasu dźwigał leniwie łeb, wiódł poważnym, jakby znudzonym wzrokiem dokoła i znów w drzemkę zapadał. Nie zwracał uwagi na

ruch i hałas, kawiarnię przepelniający. Dopiero, gdy kto z gości lub garsonów zawołał: *Tape-à-l'oeil!* w oku jego błyskała ciekawość, lecz nie podnosił głowy, jeżeli nie ujrzał kawałka mięsa, bułki lub cukru w ręku wołającego.

Zainteresował nas, bawił ten stały klient kawiarni i zaczęliśmy mu też rzucać kawałki jedzenia. Jeżeli przysmak upadł za daleko, aby go mógł dosięgnąć, pies patrzył weń czas jakiś, jakby walcząc między apetytem a lenistwem, i lenistwo brało górę. Z dwoma kawałkami to samo. Aż gdy się kawałków zebrało kilka, robił wysilek, wstawał postępując, zbierał i lykał wszystkie, poczem wracał na spoczynek.

Nie był spasionym, widać mu było kości bioder i trochę żebra, ale nie był też wychudzonym: widocznie mu jałmużna wystarczała na przyzwoite utrzymanie. Wypytywaliśmy o niego garsonów. Dowiedzieliśmy się, że „*Tape-à-l'oeil*“ zjawiał się codziennie w *Grand-Café* koło godziny piątej wieczorem i bawił tu mniej więcej do ósmej. Skąd przychodził, i dokąd szedł potem, nikt nie wiedział. Na te kilka godzin przyłaził regularnie, dzień w dzień, od lat niepamiętnych: najdawniej w kawiarni służący garson, Wiktor, już go tu przed sześciu laty stałym gościem zastał.

Ot tak, pomyśleliśmy, musi właściciel jego niedaleko mieszkać, nie daje mu jeść, to się psisko wałęsa, zajrzał tu raz, dostał co zjeść, i zmrowił się. Ta oryginalna nazwa *Tape-à-l'oeil* oczywiście była przezwiskiem, danem mu w kawiarni: „taper“ w gwarze paryskiej znaczy tyle, co w naszej „naciągać“, „à l'oeil“ zaś — „na darmo“.

Po pewnym czasie sprzykrzyły nam się olbrzymie bilardy: niektórzy z nas przystosowali do nich oko i rękę, i ci pozostających stale bili. Uradziliśmy więc przenieść swe przedobiednie zapasy gdzieindziej, i *Tape-à-l'oeil'a* straciliśmy z oczu.

Upłynęło kilka tygodni. Jednego wieczoru urządziliśmy w kilku kolegów wyprawę do *Montmartre*, dzielnicy artystów, gdzie nieraz w najmniejszej knajpie spotkasz na ścianie rysunek lub malowidło, podpisane rozgłośnem nazwiskiem: tak sobie początkujący artyści jedną łaskę i kredyt restauratorów, ci zaś się później upominków tych nie wyzbywają, wiedząc o ich sile,

przyciągającej publiczność. Między innemi wstąpiliśmy do kawiarenki o jaskrawo malowanych oknach, pełnej dymu i zgiełku. Na ścianach niestety, choć obwieszonych obrazami, nie znaleźliśmy, o ile pamiętam, nic godnego ciekawości, i już się zabierali do odwrotu, gdy jeden z nas krzyknął: *Tape-à-l'oeil!* Rzeczywiście, w głębi wąskiej sali, pod kantorem, zajętym przez opasłą, upudrowaną, kasjerkę, leżało żółte psisko, uderzająco podobne do naszego znajomego z *Grand-Café*. Wątpliwości nasze rozwiała kasjerka, potwierdzając, że jest to istotnie *Tape-à-l'oeil* we własnej osobie. Pies popatrzył na nas swym melancholijnym wzrokiem i odwrócił się. Poczuliśmy badać gospodarza kawiarni, który z serwetką w ręku krzątał się po sali. Otóż *Tape-à-l'oeil* przychodził tutaj tak samo stale i regularnie jak do *Grand-Café*, tylko później, koło dziewiątej, i bawił do północy, poczem się sam wynosił. Gdy objął ten zakład, objaśniał nas dalej gospodarz, przychodził tu co wieczór z tym psem, między 8-mą, a 9-tą, jakiś wysoki, siwy starzec, którego zwano „le polonais“; po jakimś czasie przestał bywać, ale przyszło same psisko. Znali je goście, garsoni, rzucili coś zjeść, przyłaził więc nadal i dotąd przyłazi.

Wzmianka o starym polaku zaintrygowała mnie, lecz gospodarz mi o nim powiedzieć więcej nie umiał, jak to, że zjawiał się regularnie, zjadał porcję „boeuf à la mode“ lub kielbasy z kapustą, wypijał kufel piwa i siedział do północy, czytając wieczorne gazety. Musiał umrzeć, dodał, albo gdzie wyjechał.

— A dawno to?

— Osiem lat będzie na nowy rok.

— Ale gdzie ten *Tape-à-l'oeil* nocuje?

— Nie mam pojęcia.

— Wie pan, że on tu przychodzi z *Grand-Café*?

— Wiem, mówił mi już ktoś. A po południu bywa podobno w jakiejś kawiarni na ulicy *Fontaine*. Oczywiście pan jego tej włóczęgi go nauczył.

Brak mu tylko gazety czytać, odezwał się któryś z nas.

Roześmieliśmy się. Byliśmy bardzo zainteresowani tym psem pocziwym, który, straciwszy pana, chodził dalej jego śla-

dami. Ja szczególnie byłem zaciekawiony okolicznością, że owym tajemniczym starcem był rodak mój.

Psa tutaj nazywano tak samo, jak w *Grand-Café*, ale pan jego, o ile pamiętał gospodarz, wabił go jakoś inaczej. Przezwiśko *Tape-à-l'oeil* wzięło się niewiedomo jak i skąd, dość, że kto go tylko znał w całym Paryżu, tak go zwał.

Prawdopodobnie stąd już szedł *Tape-à-l'oeil* na nocleg. Jeżeli właściciel jego żył, tam go znaleźć można było; jeżeli umarł, dowiedzieć się można czego o nim. Było już po jedenastej, wędrownka po knajpach mi się sprzykrzyła, zaproponowałem więc poczekać i iść za psem. Z kolegów moich atoli jeden tylko ze mną pozostał, reszta ruszyła na dalszy przegląd artystycznych kawiarni.

Musieliśmy czekać północy. Garson ofiarował nam co prawda *Tape-à-l'oeil'a* wyrzucić za drzwi, aleśmy tą propozycję odrzucili z oburzeniem. Nadeszła dwunasta, a psisko się nie ruszało. Wtem do kawiarni weszło kilkanaście osób, zrobił się hałas, *Tape-à-l'oeil* zbudzony zdał się namyślać chwilę, wstał i wolno skierował się ku wyjściu.

Wybiegliśmy za nim. Zrozumieliśmy, że w kawiarni wejście onych kilkunastu gości, wyszłych z pobliskiego teatryku, było dlań sygnałem, że dwunasta minęła. Szedł powoli przy samych domach nierównym krokiem, widać go stare kości bolały. Przeszliśmy jedną ulicę, drugą, doszliśmy do bulwaru *Roche-chonart*; bulwarem zaprowadził nas aż do *place Blanche*, tu skręcił, wstąpił w ciasną uliczkę *Lepic*, i coraz wolniej, przystając co kilkanaście kroków, drapał się na wzgórze *Montmartre*. W końcu zatrzymał się na dobre, usiadł przed bramą i czekał.

Nareszcie! zawołaliśmy obaj równocześnie. Zobaczymy, czy potrafi sam zadzwonić, roześmiał się mój towarzysz. Ale *Tape-à-l'oeil*, posiedziawszy chwilę, położył się na chodniku i dalej czekał. Czy na swego pana? chyba nie, bo skądżeby oddzielnie cały dzień się włóczyli; zapewne więc liczył, że znajdzie się jakikolwiek lokator, zapóźniony na mieście, który mu powrót do domu umożliwi. Była to nadzieja dość niepewna, a że mi i psa żal było, zadzwoniłem; skoro się brama otworzyła, *Tape-à-l'oeil* wsunął się w nią, my zaś o tej godzinie stróża po-

ruszać oczywiście nie chcąc, zatrzasnęliśmy bramę, i odeszliśmy. Ostatecznie wiedziałem, gdzie pies nocował, mogłem więc któregoś dnia zejść, zapytać się o niego i jego właściciela.

Ogromny to kawał drogi od dzielnicy studenckiej do wierzyn *Montmartre*, a w zimie spacer mało ma powabu, schodziło mi więc i schodziło, i wyszło z pamięci. Dopiero pod wiosnę, wstąpiwszy raz do *Grand-Café*, ujrzałem *Tape-à-l'oeil'a* i przypomniałem sobie swe dawne zamiary. Zaraz też w pierwszą niedzielę wybrałem się na ulicę *Lepic*.

Stróżka domu przyjęła mię zrazu niebardzo zachęcająco: A tak, nocuje tu to psisko, widać nas chce wszystkich przeżyć, odpowiedziała na moje pytanie, nie podnosząc oczu od *Petit Journal'u*, który czytała. Wysiliłem się na głos jaknajuprzejmiej, sięgając równocześnie do kieszeni kamizelki, i pytałem dalej, lecz nie o psa, a o pana jego, a mego rodaka. Opuściła pani stróżka gazetę, a patrząc na mnie po nad binoklami:

— A to pan polak?

— Tak pani.

— I znał pan pana Stanisława?

— Właściwie nie, ale słyszałem o nim, chciałem się dowiedzieć, co się z nim stało.

— Umarł, ale na co panu ta wiadomość?

— Tak oto, proszę pani domyślałem się, że przechodzić musiał różne koleje, nieszczęścia, więc jako rodaka mnie to interesuje. Doprowadził mnie tu, do tego domu, jego pies, *Tape-à-l'oeil*.

— Sokół, nie żaden *Tape-à-l'oeil!* (wymawiała Sokoule).

— Tak, to on się Sokół nazywa? a pan jego jak?

— Stanisław.

— Ale nazwisko?

— Jakoś tam... nie wiem, zapomniałam, jakieś niemożliwe. Mąż mój możeby pamiętał, ale go niema. Proszę pana, niech pan siada. Pan nie dziennikarz?

— Nie pani, student prawa.

— To lepiej.

— Dawno pan Stanisław umarł? pytałem.

— O już siedem, czy osiem lat. To był dzielny człowiek! (un brave!) — Rozwiązał się język pani stróżce. Pan Stanisław do tego domu przybył wraz z Sokołem zaraz po wejściu Prusaków w 1871 roku do Paryża. Sprowadził się w nocy i przez kilka tygodni nie wychodził wcale z pokoiku, który zajmował na czwartem piętrze. Stróż albo jego żona nosili mu na górę chleb, wędliny, czasem piwa butelkę, wina nie pijał. Rzadko kiedy przychodzili do niego znajomi, też polacy, od czasu do czasu który zanocował. Po pewnym czasie zaczął pan Stanisław wychodzić, potem regularnie schodził w południe, wstępował do stróża, pogawędził i ruszał na miasto; nie wracał aż po północy. Co robił? Niewiele co, zapewne: laził, zdaje się, od kawiarni do kawiarni, czytał gazety, może grał w szachy, bo nawet u siebie miał szachownicę. Skąd czerpał środki, niewiadomo. Lecz musiał mieć jakiś dochodzik, czy własny, czy od kogo zapomogę stałą, bo i komornego 120 franków płacił regularnie, i nie zebrał ostatecznie; rzadko kiedy od stróża parę franków pożyczył i to święcie zawsze oddał. Rodziny nie miał żadnej, przynajmniej we Francyi, a z nikim w kraju swoim nie komunikował się. O! tam, kiedyś, miał majątek, poddanych, konie, psy! I tego Sokoła stamtąd ze sobą przywiózł. Tutaj też z początku podobno miał pieniądze, zanim się do tego domu sprowadził.

Chciałam się jeszcze dowiedzieć czego o Sokole. Gdy pan jego umarł prawie nagle, towarzyszył pies orszakowi żałobnemu na cmentarz. Było trzech starych polaków, stróż i jego żona. Odchodząc po wszystkim, ujrzeli Sokoła na mogile: węszył, jakby chciał grzebać. Napróżno go odwoływano, stróże cmentarni ganiłi go: biegał na wszystkie strony i wciąż wracał na świeżą mogiłę. Zostawili go więc. Zjawił się nazajutrz i prosto pobiegł do pokoiku, począł drapać drzwi i wyć. Musiano mu otworzyć i pokazać próżne mieszkanie. Wybiegł na miasto, zapewne szukać pana tam, gdzie zwykli byli chodzić razem. Wieczorem wrócił; litością zdjęty stróż, sklecił mu w kącie podwórza budkę. Od tego czasu mieszka tu, do południa leży w budzie, da mu się zjeść jaki ochłap, potem wychodzi na miasto i wraca aż w nocy. Dowiedziałem się jeszcze, że w domu jest dwóch lokatorów, aktorów, którzy późno wracają, więc zawsze z jed-

nym albo z drugim się Sokół do domu dostaje. — Ja tam, zakończyła stróżka, choć na to biedne psisko i burczę, lubię je, mogę nawet powiedzieć szanuję, przez pamięć na nieboszczyka.

To słowo „szanuję“, do psa zastosowane, nie zdziwiło mnie, ani uraziło. I ja czułem w sobie pewien szacunek dla Sokoła, tego sługi wiernego lat tyle panu swemu, dzielącego jego losy, a teraz wiernego jego pamięci, odbywającego codzien, jak pielgrzymkę, samotną podróż do miejsc, gdzie zmarły zwykł był przebywać. Dostawał on jeść w tych kawiarniach; ale i tu nie byłby zdechl z głodu, a co trudu stare jego członki kosztował ten codzienny, daleki spacer! Nie, w wędrówce tej jego było coś więcej, jak instynkt zwierzęcia, goniącego za strawą.

A jaki on stary był! Przed wojną prusko-francuzką musiał z panem Stanisławem przybyć do Francji na lat kilka; od wojny minęło wtedy lat piętnaście. Miał więc Sokół lat dwadzieścia dwa conajmniej! Nie do uwierzenia, żeby pies tyle mógł żyć!

Pożegnałem wreszcie panią stróżkę, nie bez uiszczenia milczącego zobowiązania, zaciągniętego na początku mego „interviewu“, sięgnięciem do kieszeni kamizelki. Podziękowała mi uprzejmie za franka, poczuła się jednak w obowiązku powiedzieć: „to będzie na świeżą słomę dla Sokoła“.

Wracając pieszo ku śródmieściu, dumałem o wszystkim, com słyszał. Wyobraźnią odtwarzałem żywot pana Stanisława, koniec żalosny, lata biedy, włóczęgi po knajpach, śmierć samotną na poddaszu, wreszcie zasypanie obcą ziemią we wspólnym dole!..

A przy nim zawsze wszędzie ten pies, teraz wałęsający się po olbrzymim mieście jak upiór, jak żywe wspomnienie tego, co tamten przechodził. Żeby to psisko mogło opowiedzieć, co widziało!

Bezwiednie prawie znalazłem się przed *Grand-Café*. Dochodziła szósta wieczorem, był tu teraz Sokół. Wszedłem i ujrzałem go istotnie na zwykłym miejscu. Usiadłem blisko niego i zawołałem półgłosem po polsku: „Sokół, Sokół, psisko, chodź tu, chodź pocziwy!“ Zwrócił ku mnie osiwały łeb, łzawo oczy utkwiał w moich; „Sokół, Sokół“, powtórzyłem, dobry Sokół, rozumiesz

mnie, co? poznałeś, po jakiemu mówię?“ Patrzył wciąż na mnie żałośnie, wyciągnął pysk, otworzył i z gardła dobył mu się krótki, ochryply dźwięk. Może chciał zawyć, a stare gardło nie potrafiło już? Mnie się na razie zdało, jakby chciał do mnie przemówić, poczułem, że mnie zrozumiał, poznał, że to swój do swego przyszedł; gdyby nie otoczenie, byłbym go chyba ucałował; łyzy miałem w oczach. A on patrzył dalej na mnie, swymi bezdennie smutnymi oczyma.

Schyliłem się, jałem głaskać twardą sierść jego; ruszył kilka razy ogonem, musnął językiem rękę moją. Kto wie, co się w tej psiej głowie i psim sercu działo. Nie wątpię jednak, że poczuł we mnie kogoś bliższego mu niż ci wszyscy, którzy go zwykle otaczali.

Przyszło mi na myśl wziąć go ze sobą, ale cóż mnie studentowi było z nim robić? A zresztą, on sam czyby poszedł za mną, czyby wyrzekł się tej regularnej włóczędzy, którą świadomie czy nie, czcił pamięć pana swego, która była ostatnią racją bytu jego na ziemi?

Odchodząc, zawołałem: „Sokół, Sokół, pójdź ze mną, pójdź!“ Rzucił mi melancholijne spojrzenie, ale się nie ruszył.

Raz jeszcze potem w kilka tygodni, widziałem Sokoła w *Grand-Café*. Starzał się szybko, oczy miał wciąż zamknięte, tracił słuch, a wstać mu coraz trudniej przychodziło. Pod koniec wakacji, w Warszawie, przeglądając *Figaro*, trafiłem na nekrolog *Tape-à-l'oeil'a*: pisał reporter, że zdechł pies tak zwany, dobrze znany klientom kilku kawiarni paryzkich, jeden, jak się wyrażał „z zanikających, ciekawych typów miasta nad miastami“ i t. d. O prawdziwej historii Sokoła i jego pana zresztą ani słowa.

Trzaska.

9 marca 1902 r.



CMENTARZ.

NOC CICHA, SREBRNA, MILJONEM GWIAZD
OKRYŁA CIEMNE NIEBIOS BŁĘKITY;
WRÓCIŁY SENNE PTAKI DO GNIAZD,
I POCZERNIAŁY PÓŁ MALACHITY.
ROGATY KSIĘŻYC ŁŚNI NA ZENICIE
I WOLNO PŁYNIE, JAK BIAŁA ŁÓDŹ —
A ŚNIEŻNE LILJE W NIEMYM ZACHWYCIĘ
ZŁOTE MARZENIA POCZĘŁY SNUĆ.

CISZA... WŚRÓD WIANKA DRZEMIĄCYCH DRZEW
CMENTARZ CZERNIEJE LASEM SWYCH KRZYŻY:
NIEKIEDY WIATRU LECIUCHNY WIEW
SZEMRZĄCĄ GAŁĘŻ KU ZIEMI ZNIŻY, —
SWAWOLNY WPADNIE MIĘDZY MOGIŁY,
PORUSZY ZŻÓŁKŁY SPRÓCHNIAŁY LIŚĆ,
CO DAWNO MOCĄ NIEZNANEJ SIŁY
SWĄ MACIERZYSTĄ PORZUCIŁ KISĆ.

BLADEGO ŚWIATŁA SREBRZYSTY SNOP
MĘTNE ROZRZUCA PO GROBACH BLASKI;
W CICHEJ MELODYI POD NIEBIOS STROP
MGIEŁ TAJEMNICZYCH PŁYNĄ PRZEPASKI
I SIERP MIESIĘCZNY TULĄ DO ŁONA;
POWIETRZE PEŁNE MOGILNYCH TCHNIEŃ —
A KRZYWYCH KRZYŻY CZARNE RAMIONA
DZIWACZNY KŁADĄ NA ZIEMIĘ CIEŃ.

CZASEM SŁOWIKA NATCHNIONA PIEŚŃ
PRZERWIE CMENTARZA SPOKÓJ GŁĘBOKI —
TRELEM SIĘ WKRADŁSZY POD MOGIŁ CIEŚŃ,
NA ZIMNE TRUPIE NATRAFI ZWŁOKI:
AŻ LEKKO ŻYCIEM DRGNIE MARTWE SERCE
I CHCE SIĘ OCKNAĆ Z KAMIENNYCH SNÓW,
BY PRZEJŚĆ POWTÓRNICIE CIERNI KOBIERCE —
BY ZNOWU KOCHAĆ — I PŁAKAĆ ZNÓW!

MOR.





Rzym podczas jubileuszu.



święta Wielkiejnocy zawsze ściągają do Rzymu tłumy cudzoziemców, ale w roku jubileuszowym napływ ich był olbrzymi. Począwszy od Niedzieli Palmowej z każdego pociągu przybywającego na dworzec, wysypywały się rzesze przyjezdnych; zdawało się, że wszystkie narody, posłuszne wezwaniu Głowy kościoła, podażyły do wiecznego miasta, ażeby pokutą oczyścić duszę i uzyskać odpuszczenie grzechów. Liczba gości i pielgrzymów wzrosła podczas Wielkiego Tygodnia do kilkudziesięciu tysięcy, niema jednak obawy, żeby dla kogo zabrakło miejsca, każdy znajdzie dach nad głową.

Myśmy miały poprzednio zapewnione schronienie w gościnnym domu Nazaretanek, odrazu więc z placu *delle Terme* kazałam jechać na *via Macchiavelli*. Wieczór już zapadł, przy blasku księżyca czerniały olbrzymie Łaźnie Dyoklecjana, których nie mogą zapełnić umieszczone w nich kościoły, przytułki, zakłady wychowawcze, muzeum, klasztor i koszary. Odarte z marmurów, pleśnią wieków pokryte, sterczą, niby szkielet potwora.

Na samym wstępie przybysz ma przedsmak tego, co ujrzy w Rzymie. Przeszłość z teraźniejszością splotły się tu nierozzerwanym węzłem, na wzór tych bliźniaczych kolumn skręconych razem, patrząc na to co *jest*, ani na chwilę nie można zapomnieć o tem, co *było*. Już w obrębie dworca kolei natrafiamy na szczątki murów Serwiusza Tulliusa, niespożyte mimo dwudziestu kilku wieków, a granitowy obelisk na placu *delle Terme*, mający blisko cztery tysiące lat istnienia, mówi nam, że Roma, niegdyś pani świata, tytułem haraczu zabierała ze słonecznego Egiptu pomniki, strzegące świątyni Izdydy i Ozyrysa.

Ulica Macchiavelli leży na eskwilińskim wzgórzu, w nowej dzielnicy, zabudowanej domami, które niczem się nie różnią od pospolitych, trzy lub czteropiętrowych kamienic w Wiedniu, Berlinie albo Warszawie; po sąsiedniej *via Merulana* krążą elektryczne tramwaje, zupełnie jak w innych stolicach europejskich, ale na tem kończy się podobieństwo. Dosyć przejść kilkanaście kroków, dzielących Nazaretanki od *via Merulana*, żeby zauważyć różnicę między Rzymem, a wszystkimi miastami na świecie. Na jednym końcu ulicy odcina się od lazurów nieba egipski obelisk z czerwonego granitu, największy jaki istnieje, zdobiący plac Św. Jana, dalej piętrzą się mury starożytnej bazyliki laterańskiej i szczerńnię łuki klaudjuszowego wodociągu, który prowadził do Rzymu czyste źródło Ania. Na drugim końcu, widać na szczycie Eskwilinu przepyszny fronton, wysmukłą dzwonnice i dwie kopuły bazyliki *Santa Maria Maggiore*.

Olbrzymia przestrzeń w tej stronie miasta, sięgająca Tybru i murów Aureliana, jest mało zabudowana i mało zamieszkała, a jednak ciekawsza, niż najpiękniejsze i najludniejsze dzielnice. Dość powiedzieć, że obejmuje wzgórze: celijskie, Awentyn i Palatyn wraz z dolinami. Wśród tych pustkowi widzi się starożytne kościoły z pierwszych wieków chrześcijaństwa, wille ukryte wśród gęstwiny ogrodów, ciche klasztory i mnóstwo zwalisk, między którymi

znajdują się Łaźnie Tytusa i Karakalli, Forum, Koloseum i szczątki cesarowych pałaców.

Zazwyczaj na milczących, porośłych trawą ulicach mało spotyka się przechodniów, teraz jednakże i tam snuły się liczne gromadki, dążąc do Lateranu, do Santa Croce, do starej bazyliki Św. Klemensa, do kościoła San Stefano Rotondo, lub na Awentyn, do bazyliki Św. Sabiny, gdzie Jacek i Czesław Odrowążę otrzymali habit zakonny z rąk Św. Dominika.

Pogoda w Wielkim Tygodniu była prześliczna, a to zachęca do dalszych wycieczek. Wśród tłumów, odwiedzających Groby w W. Piątek i Sobotę, widziałam więcej cudzoziemców, niż Włochów. Na ulicach panowała większa niż kiedykolwiek różnorodność typów i ubiorów. Rodowitych Rzymian poznawało się od razu po klasycznych rysach, ognistych oczach i dumnym sposobie noszenia głowy, odziedziczonym po przodkach. Niepodobna także się pomylić co do pochodzenia sztywnych jegomościów o rudawych faworytach i nieprawdopodobnych garniturach w kratki. Tyrolczyków odróżniało się po narodowych strojach, Hiszpanów po drobnym wzroście, ciemnej cerze i poważnych ruchach. Od śniadych Albanek w malowniczych kostiumach trudno było oderwać oczu. Koptowie, Grecy, Ormianie odznaczeni długimi brodami i odrębnością odzieży. Do-nośny głos, żywa gestykulacja, pulchne i rumiane twarze z dobrodusznym uśmiechem, cechowały Francuzów z południa, Niemców i Niemki poznawało się zwykle po okularach.

Często wpadały mi w ucho dźwięki polskiej mowy, ale nasi rodacy średniej i wyższej sfery nie mają wybitnego typu; zato naszego chłopca odróżnić można wśród tysięcy ludzi, choćby nawet przebrał się po miejsku: zdradzą go pocziwe niebieskie oczy i lniana czupryna.

Wśród pstrej mozaiki strojów narodowych, wykwintnych kostiumów wiosennych, sutann i habitów wszelkiej barwy daremnie szukałoby się klasycznego ubioru średnio-wiecznych pątników: szerokich płaszczów, płaskich kapelu-

szy z muszelkami i koszturu w rękę, lecz malowniczość tego zbiegowiska nic na tem nie traci.

Widok niezliczonych rzesz, które pośpieszyły do wiecznego miasta na głos Najwyższego Pasterza, powinienby dać do myślenia rządowi włoskiemu. Dla nich Rzym nie jest stolicą zjednoczonej Itallii, lecz stolicą Papiestwa; przybyśzów nie obchodzi ani król Humbert, ani Wiktor Emanuel, ani Garibaldi, lecz wyłącznie Ojciec Święty. Innowierca, czy katolik, książę z panującego domu, czy włosianin, marzy o tem jedynie, żeby ujrzeć Leona XIII i złożyć Mu hołd, należny Jego dostojeństwu, wiekowi i mądrości. Nie Kwirynał, lecz Watykan jest magnesem, przyciągającym tu włochów i cudzoziemców.

Gdziekolwiek się obróca, wszystko im mówi o niepożytej potędze, o niewygasłym blasku Papiestwa, zarówno świątynie olśniewające pięknnością i przepychem, jak wspańnięte pałace, prześliczne wille, nieoszacowane zbiory sztuki, a nawet zwaliska starożytnej Romy. Patrząc na te szczątki dawnej *caput mundi*, mimowoli nasuwa się myśl, jak straszny był pogrom nieprzyjaciół wiary, jak świetnym jej tryumf. Zanim jeszcze dojedzie się do miasta, olbrzymia kupała Św. Piotra, która tak majestatycznie rysuje się na turkusowem niebie, górując nad rumowiskami cesarskich pałaców, już uosabia to zwycięstwo. Gdyby nie opieka i troskliwość Najwyższych Pasterzy, i tych szczątków jużby nie było.

Niema obawy, żeby Rzym królewski mógł kiedy zaćmić Rzym Papieży, opromieniony aureolą nieśmiertelnych wspomnień, krwią męczenników uświęcony; ten ostatni będzie zawsze jako dobroczynne słońce, które na cały świat katolicki jasne rzuca blaski.

Ze wszystkich wrażeń jubileuszowych najsilniej utkwiała mi w pamięci chwila, kiedy w bazylice Św. Piotra otrzymałam błogosławieństwo Ojca Świętego. Wezwano nas na południową godzinę, ale już od rana ulicami, prowadzącemi na Zatybrze, płynęły fale ludzi różnego stanu, wieku i narodowości. Wszystko to niknęło wśród ogromów najwięk-

szej i najwspanialszej świątyni chrześcijaństwa. Razem z nami miały być przyjęte pielgrzymki z Benewentu, Tunisu, Styryi i gór Albańskich, to znaczy około 20,000 osób, ale te tłumy nie zdołały zapełnić naw bazyliki, w której może się pomieścić 80,000.

Słońce wpada przez okna i migoce na złoceniach, lśni na różnobarwnych marmurach, oświeśla olbrzymie posągi i mozaikowe obrazy. Z kolei rozbłysło na złotym krzyżu, wieńczącym baldachim nad grobem Księcia Apostołów, potem jaskrawymi promieniami objęło kulę z drogiego kruszcu i ześlizgnęło się po skrzyżowanych kolumnach, odlanych z brązu, którym był kryty Panteon.

Stoję w pierwszym rzędzie zaraz za szwajcarami papieskimi, tworzącymi podwójny szpaler wzdłuż bazyliki. Pilnują, żeby pielgrzymi nie zajęli wolnej przestrzeni, której ma przejść orszak Ojca Świętego. Naprzeciw widzę młodego mężczyznę, trzymającego na ręku trzyletnią dziewczkę w różowej sukience, śliczne małeństwo o kruczych loczkach i czarnych oczkach, któremi ciekawie rozgląda się dokoła. Od czasu do czasu, tym korytarzem przechodzi szambelan papieski, prowadząc do trybuny jaką zakwieconą damę, Są to członkowie szlachty rzymskiej o pięknych typowych obliczach, jakby żywcem zdjętych ze starożytnego medalu; bogaty lecz poważny ich ubiór z czarnego atlasu i aksamitu, ożywiają białe kryzy hiszpańskie, złote łańcuchy i ordery.

Burza oklasków i okrzyków zwiastuje ukazanie się Najwyższego Pasterza. Niema serca, któreby w tej chwili nie zabiło żywiej, niema oczu, których nie zamgliłoby rozrzewnienie; wszystkie twarze są wzruszone i promienieją radością. Sternik nawy Piotrowej, niesiony na krześle, płynie nad morzem schylonych głów ludzkich, majestatycznym ruchem ręki błogosławiąc na wsze strony. Niekiedy podnosi się, aby go lepiej widziano i wtedy w swoich białych szatach, na których błyszczy złota stuła, sprawia wrażenie nadziemskiego zjawiska. Zda się, że niema kropli krwi w białym pergaminowym obliczu, ale przenikliwe

czarne oczy zachowały ogień młodości, myśl opromienia wyniosłe czoło, dobrotliwy uśmiech, zniewala serca. Dojrzał dziecinę, wyciągającą rączki do Niego i obejmuje ją spojrzeniem, pełnem ojcowskiej czułości: błogosławieństwo Starca nad grobem spływa na kędzierzawą główkę niewinnej istotki, która ledwie żyć zaczęła.

Papież stanął przy ołtarzu. Milkną okrzyki i rozpoczyna się litania do N. Panny po łacinie. Za każdym razem, chór 20,000 głosów wzbija się pod sklepienia świątyni, odpowiadając: „Ora pro nobis.”

O módl się za nami Ty przeczysta Panienko, miłosierna Matko i z rajskich przestworów spuść oczy na biedne dzieci Twoje!

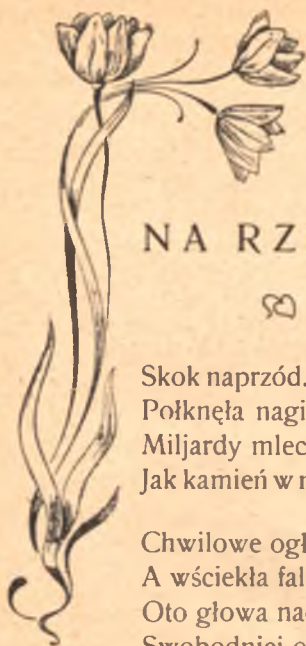
Nastaje cisza, jak gdyby w bazylice nie było nikogo. Wszyscy wstrzymują oddech w piersi, gdyż przy grobowcu Św. Piotra odzywa się drżący lecz donośny głos Ojca Świętego, odmawiający „Sub Tuum presidium...” Potem śpiew anielski chóru Sykstyny przejmie dusze zachwytem, a skoro ostatnie przebrzmiały tony, *sediarii* podejmują na barki purpurowy fotel ze złotemi frendzlami i herbami niosą dostojnego Starca wśród tłumu pątników. Zapal i wzruszenie dochodzą do szczytu. Obok mnie, dwie niemłode włoszki z Parmy padły na kolana i wyciągając ręce do Papieża, wołają z płaczem:

— *O carino! com'è bello!* (O drogi, jakiż On piękny!).

Już zniknął z oczu, a radosne okrzyki jeszcze rozlegają się wśród murów świątyni. Każdy z obecnych głęboko jest przejęty łaską, której dostąpił i, opuszczając bazylikę, unosi z sobą wyryty w sercu obraz sędziwego Pasterza, którego po raz drugi może nie będzie nam dano oglądać na ziemi.

Zofia Sokołowska.





NA RZECIE.



Skok naprzód... i upadam w płynne wód zwierciadło.
Połknęła nagie ciało rzeki paszcza głodna —
Miljardy mlecznych kropel na mą głowę spadło —
Jak kamień w nieskończoność — płynę — lecę do dna...:

Chwilowe ogłuszenie: nie pomnę, że żyję...
A wściekła fala już mię na powierzchnię rzuca:
Oto głowa nad wodą, i ściśnięte płuca
Swobodniej odetchnęły... powiew wiatru piję...

Naokół mię ruchome srebrnopłynne fale
O pierś mą uderzają i muskają głowę —
Hej, do brzegu! — to zbliżę, to znów się oddalę,
Ramieniem rozcinając fal grzebienie płowe.

A brzeg już nie daleko... jeszcze ruchów kilka...
I zmęczony upadam na trawy zielone...
Szeroko pierś oddycha... oczy przymrużone...
Duszę ogarnia słodka zapomnienia chwilka...

Mor.



Lubię ciszę.

*Lubię ciszę — słodką ciszę —
Gdy się serce ukołysze,
Wianek złudzeń pocznie wić —
Bujać ponad marzeń łąką,
Zapatrzone w szczęścia słońko:
Wtedy wiem co znaczy śnić!*

*Ale miłsze są mi burze,
Kiedy wicher targa w górze
Poplątaną losów nić —
Kiedy huczy grom nad głową
Cierpień groźbą piorunową:
Wtedy wiem, co znaczy żyć.*

Mor.





Z PAMIĘTNIKÓW

Anny ze Skarzyńskich
kasztelanowej Czarneckiej.

(Wspomnienie z pobytu emigracyjnego Księcia de Berry w Dubnie).



Dziecięce lata moje pamiętnemi mi na zawsze będą, były one pasmem zmartwień i niedoli naszego domu, jednym ciągiem nieszczęść, spadających jak grad na biedne barki drogiego ojca mego, który z pokorą całą ulegając temu przeznaczeniu Bożemu, o mało że życiem tych ciężkich zgryzot nie przyplacił.

Nieszczęsny, acz konieczny stosunek ojca mego z Księciem Adamem Ponińskim, wielkim podskarbinem koronnym, a byłym marszałkiem sejmu 1772 roku był nieszczęść naszych przyczyną.

Pan ten możny i wpływów wielkich, przyczyniwszy się wiele do otrzymania urzędu, który ojciec mój piastował, rachując na wzajemne dobre dla siebie chęci, zażądał sumy wielkiej bo 80,000 czerwonych złotych z ka-

sy narodowej, której ojciec mój był skarbnikiem. Słowo tak możnego pana, oraz kwit, który do dziś dnia posiadam, dostateczną było dla ojca mego rękojmią: — nie wahając się sumę tę do rąk jego złożył — ale jakże srodze za swą lekkomyślność przypłacił! Książę rozpustnik i szuler, ostatkami już goniąc, słowa nie dotrzymał i sumy na termin oznaczony do kasy nie zwrócił.

Rozpacz biednego ojca mego nie miała granic, wiedział dobrze bowiem, że hańba grozi nazwisku jego, gotowizny zaś, acz sam zamożny, nie posiadał i znikąd tak znacznej zwłaszcza dostać nie mógł.

Gdy więc wszelkie obietnice księcia podskarbiego stały się bezskutecznymi, unikając infamii i odpowiedzialności karnej, która go czekała, sprzedał za bezcen bo za 50,000 czerwonych złotych starostwo Radomyśl pod Łuckiem panu Pigłowskiemu, majątek swój Boguszyce w Łomżyńskim bratu swemu Janowi Skarzyńskiemu, podkomorzemu Łomżyńskiemu, którego syn, a brat mój stryjeczny Tomasz, obecnie w Popowie pod miastem Serockiem zamieszkuje, oraz przy pomocy pieniężnej Tadeusza Skarzyńskiego skarbnika Podlaskiego, posła Łomżyńskiego na sejm Grodzieński, a drugiego brata swego, sumę zaległą do kasy złożył i, wolno odetchnąwszy, z honorem nazwiska z troski tej wyszedł.

Po tem tak raptownem nieszczęściu okruchami już tylko swej ładnej fortuny oraz tem, co mu pozostało z zastawu od X-ej Sapieżyny, nabył dobra Targowicę pod Łuckiem, gdzieśmy się po ciężkich smutkach naszych w miesiącu Lipcu przenieśli.

Moralne jednak cierpienia wpływ na silną jego z natury konstytucję wywrzeć musiały, zasłabł ciężko; — a że słabość jego z rokiem każdym się powiększała, postanowiliśmy wyjechać na kurację do Dubna, aby się oddać w ręce lekarza wielkiego emigranta Księcia de-Berry, który wraz z całą armją rojalistów tam chwilowo się osiedlił.

Najeliśmy więc po przyjeździe do tej nędznej mieściny dom cały vis-à-vis kościoła, wygodny, bo całą naszą służbę mieszczący, i bezwłocznie zawezwaliśmy owego lekarza X-cia de-Berry do siebie.

Pan de-Chamley znalazł stan ojca mego nie zbyt straszającym, zaleciwszy jednak spokój i usunięcie się zupełnie od kłopotów gospodarskich, poradził, abyśmy na czas jakiś w Dubnie zamieszkali, celem przeprowadzenia ściślejszej przez niego przepisanej kuracji.

Smutne czekały mnie więc tu chwile, — miasteczko nędzne, znajomości żadnej, okolica nie zbyt malownicza, jednym słowem nie wesołe zapowiadało się życie zwłaszcza dla młodej i chciwej zabaw, jak ja, dziewczyny.

Jakąż jednak jesteśmy igraszką losów! czyż sądzić wtedy mogłam, że tutaj najmiłsze a zarazem najcięższe chwile życia mego spędzę? że serce moje po raz pierwszy silniej bić zacznie, że pokocham tu pierwszą świętą miłością młodej dziewczyny?

Lata długie od tej chwili minęły, a jakże żywo obraz pobytu mego w tej miejscowości staje mi wciąż w pamięci!

Poranki moje spędzałam w kościele, prosząc Najwyższego Boga o zdrowie ojca mego, którego stan po tygodniu pobytu pogarszać się zaczął.

Pewnego razu, idąc tam, spostrzegłam około budującego się ratusza karetkę, w 4 założoną konie i stojących dwóch mężczyzn. Panowie ci, widocznie postacią moją uderzeni, wkrótce za mną podążyli do Kościoła i w ławce obok naszej zasiedli. Wychodząc z kościoła, zastałam ich w bliskości, patrzących na powierzchnię kościoła, świeżo przez ojca mego odrestaurowanego; — gdy mnie spostrzegli, ukłon niski oddawszy, do karety powrócili. W kilka dni później widzę znów tych panów i tą samą karetkę z daleka, — tym razem poznaję w towarzystwie owym doktora de-Chamley, naszego dobrego już znajomego.

Zarumieniona cała, gdyż domyślałam się obecności samego X-cia de-Berry, spiesznie dążę do kościoła, gdzie

w skupieniu ducha modląc się, pod koniec nabożeństwa spostrzegam jednego z tych panów, zręcznie z za filara starającego się na papier przenieść rysy moje. Myśl moja jest w roztargnieniu, modlić się nie mam siły, czuję spójrzanie tych panów zwrócone na mnie, to też pospiesznie opuszczam ławkę i dążę ku wyjściu — gdy wtem na progu świątyni zbliża się do mnie doktor pan Chamley i prezentuje X-cia de-Berry i hrabiego Ribeaupierra, jego towarzysza. Książę prosi mnie o zezwolenie podania swej ręki — zmieszana niespodziewanym wypadkiem odmówić tego honoru nie byłam w możności.

Książę zaczął rozmowę z galanterią francuską, że tu piękna pozycja, że ja jak widać jestem bezpotrzebnie przerażona słabością ojca, gdyż pan de-Chamley nie znajduje go w złym stanie, наконец wymijamy karetę i wciąż rozmawiając, dążymy w stronę naszego domu, do którego o wejście uprasza.

Musiałam zostać z nim w pokoju bawialnym, a pan de-Chamley udał się do mego ojca, któremu doniósł o zaznajomieniu się i bytności Księcia w salonie.

Ojcu memu, choć wielce światowemu, wizyta ta się nie podobała, bo choć książę przy prezentacji raczył nadmienić, że nazwisko nasze już mu znanem było, był chmurnym i nad wyraz smutnym; — widocznie zacne serce Jego przeczuwało smutny dramat, który w niedalekiej przyszłości pod boki Jego rozegranym zostanie. Książę bawił 2 godziny i, uprzejmie się nader pożegnawszy, wyjechał; — w kilka dni znów przyjechał, a tym razem jakżesz był dla nas zajmującym! czarował nas wdziękiem swym, mile rozmawiał, rzewnie opisywał ostatnie nieszczęsne chwile biednej Królowej Antoniny i jej męża!

Ojciec mój był pod urokiem jego, a córka, — zapytajcie wnuki moje, dla których pamiętnik ten piszę? Ona wpatrzona w szlachetne rysy jego czoła, w głębi serca tając rodzące się już uczucie, czuła, że człowiek ten rolę stanowczą w życiu Jej odgrywa i niezatarte po sobie w sercu jej pozostawi wspomnienie.

Od tej chwili książę był u nas codziennym prawie gościem, w miarę jednak jego u nas wizyt ojciec mój, co raz bardziej stawał się dla niego wyniosłym i obojętnym, a choć zawsze etykietalnie ugrzecznionym, dawał poznać, że częste odwiedziny Księcia nie są mu na rękę.

Książę przeciwnie stawał się coraz pokorniejszym — jego zachowanie, pełne uszanowania dla ojca i widocznej miłości dla mnie, rozbrajało dumę polskiego szlachcica, przeczuwającego zgubę swej jedynaczki w dalszym tym stosunku.

Nareszcie czara się przebrała; gnębiony złem przeczuć ojciec postanowił za pośrednictwem D-ra de Chamley, poprosić Księcia, aby zaprzestał tak częstych wizyt, co też D-r de-Chamley, posłuszny żądaniu wypełnił, przyspieszając rozwiązanie dramatu, który w kilka dni później nastąpił. W dniu tym, w sercu mem na zawsze wyrytym, przyszedł Książę do nas wieczorem i był mocno wzruszonym, bo gdy ścisnął mnie, witając za rękę, czułam, że drży cały i tak jak ja, do słowa dojść nie jest w możności.

Nadszedł wreszcie mój ojciec, a widząc wspólne nasze zakłopotanie, spiesząc Księcia do swego poprosiwszy pokoju, mnie surowym swym wzrokiem na miejscu pozostać rozkazał. Gdy weszli do pokoju, ojciec mój był bardzo bladym, Książę zaś mocno wzruszonym się czując, zasiadłszy naprzeciw ojca, toczył rozmowę ogólną o rewolucyi, która go losem oparła o tak miłą okolicę, gdzie pierwszy raz wypogodził swój humor, że czuje ulgę w tęsknocie, która go tak męczyła — wreszcie zaczął wychwalać piękność moją, naturalność i wielki rozsądek. Na to ojciec mój odpowiedział, że jest to z Jego strony grzeczność narodowa, ale w której przebija zarazem i żart, bo córka Jego, wychowana na wsi, nie posiada tego blasku, który jej Książę przypisuje.

Cała drżąca ze wzruszenia, stojąc za kotarą przyległego pokoju, z niewypowiedzianym niepokojem, oczekiwałam końca tej rozmowy.

Książę na słowa te zamilkł, po chwili, jednak pochyliwszy się nisko prawie do nóg ojca, wyrzekł ze wzruszeniem słowa, których znaczenia dawno już serce moje się domyślało.

— „Oddaj mi ją Panie — droższą mi jest ona nad wszystko, nad ojczyznę moją i tron który mnie oczekuje”.

Na słowa te twarz ojca surowy przybrała wyraz, po chwili jednak, zacne oczy Jego łzami zachodzić zaczęły i wyrzekł, za rękę Księcia gwałtownym ruchem ująwszy.

„O ile Jego Królewska Mość zaszczyt mi przynosisz słowami swemi, wspaniałem, zacnem Twem oświadczeniem się o rękę dziecka mego, o tyle żądaniem swem, zakrwawiasz serca nasze; — córka moja bowiem nie urodziła się do stopni tronu, a Jego Królewska Mość zapominasz, czem jesteś.

„Los ten byłby niedolą dla drogiego dziecka mego, a dla Jego Królewskiej Mości stalby się nieszczęściem.

„Waszą Królewską Mość oczekuje Ojczyzna, w niebezpieczeństwie będąca i tron — o tem tylko myśleć powinienes.

„Zapomnij o nas, o córce mojej i daj słowo słudze swemu, że nigdy już jej w życiu widzieć nie będziesz — pozwól jako szlachcicowi żądać Twej Królewskiej na to ręki”.

Zaledwie te ostatnie słowa doszły uszów moich, straciłam uczucie swego jestestwa, a zemdlawszy, padając z łoskotem na progu drzwi w których stałam, kres widocznie rozmowie dalszej zadając, przez długi przeciąg czasu do siebie przyjść nie mogłam; — aż nareszcie ujrzałam go, jak przez mgłę, bo przez łzy moje, klęczącego nademną z załamanemi rękoma — widok ten znów mnie w zemdleńie wprowadził, a gdym powtórnie do siebie przyszła, już go w pokoju nie było.

Ojciec mój klęczał na jego miejscu, a ocierając łzy obficie z oczów moich płynące, szeptem swym pocieszał i do serca czule przytulał.

Nazajutrz już Księcia w Dubnie nie było, wyjechał z sercem zakrwawionem, przesławszy list do ojca, w którym, obowiązuąc się dotrzymania słowa, prosił o przyjęcie brylantowej bransoletki wraz z żałobnym u spodu wiszącym krzyżykiem, oraz z prośbą usilną, abym dar ten przez życie całe nosić się zobowiązała.

Choć rana młodocianego serca długo się zagoić nie chciała, czas jednak, ten jedyny dobry lekarz cierpień moralnych, skutecznie faktu tego dokonać zdołał, ku wielkiej radości kasztelanica, któremu w kilka lat później rękę swą oddałam.

To też wdzięczny za to mąż mój, gdy nikiemny Louwel przeciął nić życia przyjacielowi mej młodości, zezwolił, abym rok cały żałobę po nim nosić mogła.

Gdy to piszę przy blasku mej lampy, z rozrzewniem spoglądając się na bransoletkę, okalającą zgrzybiałą rękę moją, na ten krzyżyk żałobny, pomimo woli przenoszę się w ubiegłe chwile młodości i zadaję sobie pytanie: co by się stało ze mną i jaka dola by mnie oczekiwała, gdyby pan skarbnik, a ojciec mój zadość woli Jego Królewskiej Mości uczynił?



Przypisek redakcyi: O pamiętniku powyższym wspomina „Almanach de l'emigration, Paris 1857”.



ESTEJA.



BABUNIA.

(Urywek z większej całości).



Napisał Ruskin dzieł dużo, — tomy i tomy, których Babunia nie czytała. Napisano o Ruskinie już, a napiszą jeszcze setki tomów i słusznie, bo nikt lepiej od niego myśleć, a zatem i pisać nie uczy. Ale i tych tomów Babunia nie czytała. Boć i Ruskin w naszym kraju nowością jest dopiero, a Babunia nie od razu na nowości się rzuca, — musi wprzód wiedzieć, czy warto.

Kto Ruskina poznał, ten już ze szczegółu, że Babunia tylko to czyta, co czytać warto, odgadnie, iż stosuje się ona z własnej inicjatywy do tego, czego Ruskin od czytających wogóle żąda, — żąda wyboru.

Nie w tem tylko, ale i w tylu innych swych „Credo” Babunieczka jest z przyrodzenia adeptką Ruskina, nie znając go wcale. Nazywamy ją też i Rusinistką, bo różne, przeróżne ma tytuły, — nosi tytuł jedynaczki, jako matka jedyna. Można mieć siostr wiele i wiele córek i wiele przyjaciół e. t. c., ale matkę ma się tylko jedną, więc słusznie jej się ten tytuł należy.

Nazywa się też Starszą Panią, i Ogrodniczką i „Orachne“, albo „Les doigts de fée, i panią de Sevigne, i ogrodniczką, i Doktorką, i Teologiem, i Dekoratorką, Certys.

Tytuł „Ruskinistki“, obraża ją trochę, bo choć się z nim osobiście dotąd nie zapoznała, ale wie, że to był geniusz; a Babunia jest bardzo pokornego serca kobieta i ma się właśnie za tyle, co żdźbło trawki w przyrodzie.

I w tem jej wielki urok.

Więc nie rozumiem, jak można śmieć przy takim wielkiem, monarszem, klassycznym nazwisku Jej imię umieszczać.

Na pociechę trzeba Jej powiedzieć, że to nie dla porównań zestawia się Ją z tamtem wielkiem imieniem, tylko że pewne analogie każą o Niej pomyśleć, gdy się studjuje Ruskina, — że z tego samego słońca czerpie życie cedr na Libanie i rezeda na polskiej grzędzie

Już Babunia pocieszona, bo passjami rezedę lubi, i w takim zestawieniu rezedy do cedru już o sobie mówić pozwala t. j. rezygnuje, bo musi.

Dawniej, kiedyś tytuły Jej w ustach dzieci zmieniały się często, w miarę odkrywania nowych talentów, nowych kroków, nowych specjalności Babuni.

Były ujemne, jak Wielki Rachmistrz. Bo rachować nigdy nie umiała i gdy tylko mnożenie liczb wychodziło poza granicę pięciu, trzeba było Jej pomagać; a co do dzielenia, to już najlepiej zamilczeć o tem, aby Jej wstydem nie okryć.

Były tytuły dodatnie, jak: Teolog, nawet Dalaj Lama, — bo w rzeczach wiary, w znajomości ksiąg Biblii, żywotów

świętych, liturgii, nawet symbolistyki kościelnej i t. d. Babunia jest tak wyćwiczona, jak mało który teolog.

Jednem słowem mianaróżne zmieniały się w miarę potrzeby chwilowej i uznania, jedne się przyjmowały na długo, drugie przez „vox populi“ odrzucone przepadły bez śladu.

Gdy nareszcie przyszedł najpóźniej, ale za to przyjął się najlepiej tytuł nad tytuły.

Dostojeństwo „Babuni“ jest z najwyższem upodobaniem przez Nią noszone.

To godność nad wszelkie godności.

Żadna na świecie monarchini, ani z mytycznych jeszcze podań, ani z nowszych czasów nie poczuła się tak dumną z roli swojej.

Żadnej oczy tak się nie rozpromieniły na widok korony i berła, żadnej usta nie rozchyliły się tak błogim uśmiechem, jak Babunieczki, gdy Jej pierwsze wnuczátko podano, gdy Jej powiedziano: „Babuniu, oto wnuk Twój!“

Od tej pory nad wszelkie zajęcia, nad wszelkie rozrywki, uciechy Babunia towarzystwo wnuków przekłada, a one towarzystwo Babuni.

— Babuniu! zaśpiewaj nam to, co naszej matce śpiewałaś, gdy małeńka była. I śpiewa babunia kołysanki tęskne i słodkie, jakich, już teraz nikt nie zna, nie umie. śpiewa wnukom nietylko głosem pełnym kontraltowym dźwięcznym, jakim kiedyś, dawniej „Króla oleh“ śpiewała, „Budrysów“ i „Wędrowca“, aż echo grało w piersiach słuchaczy, ale w dodatku dziś nuci „Kołysanki“ bardzo kochającym sercem, tak rzewnie, tak jakoś niemi dziecinę ukolysze, ukoi, że choćby potem wnuki przeszły przez światy wzdłuż i wszerz, i tam i napowrót, choćby się nasłuchały zgrzytów i dyssonansów, od których dusza się rozstraja, choćby potem i błądzić poczęło w labiryncie życia, i tracić miarę i wagę dobrego i złego w odmęcie spraw ludzkich,—to gdy się do snu ułoży, a zadzwoni mu w pamięci ta tęskna, ta serdeczna kołysanka Babuni, wtedy wraz z echem tej pieśni dalekiej, drogi się prostują i rozwidniają, horyzont

się rozjaśnia, miary i wagi wskazują wedle prawdy nieomyłnej — i ożyje dziecina, a prawa dusza już wykąpana w tej wspomnień wodzie letejskiej — nie zginie, — bo od czegoż kołysanki Babuni?

Że Babunia pozwala tym swoim najdroższym urwisom nadużywać swej dobroci, to znowu fakt i ścisłość historyczna nie pozwala tego zamileć. Że nadużywając dobroci, te filigranowe lecz psotne istotki wiedzą, iż nigdy nie nadużyją cierpliwości, to też jest prawdą niezaprzeczoną.

Znany jest jeden z wnuków Jej, któremu przez cztery lata obiecywała klapsa, — niedotrzymawszy obietnicy, — wie on dziś o tem, że i cztery następne obiecywać będzie tak dla zwyczaju — i ztąd nie bierze do serca tych ekzekucyjnych zapowiedzi.

Pozwala tedy Babunia przy myciu wieczornem dziecięciu tłustemi paluszkami wodotryski w miednicy wnukom urządzać, przyczem śnieżna muslinowa chusteczka, głowę Jej okalająca, nieodmiennie jest pokropiona i to rzęsiście.

Pozwala sobie ten wnuk najmilszy wylewać wodę z wazoników Babuni i kwiatki na sucho zostawiać, choć wie, że mu niewolno. Najgorsza gdy kwiatki uschną, to już się zachęca do karygodnych przestępstw. — Jak Kazio wodę z kwiatków wyleje i kwiatki uschną — to — Kazinek klapsy dostanie? kończy wnuk, — patrząc w oczy Babuni z takim przymileniem i z takim uśmiechem jakiego jeszcze żadna wytrawna kokietka przy lustrze nie zdołała się wyuczyć.

— Dostanie — kończy z nim Babunia i nie rozbrojona kokieterją matką, i nietylko, gdy kwiatki uschną, ale wogóle gdy wodę wylewać będzie.

— „Babunia mówi, gdy uschną“ — odpowiada logicznie mały mężczyzna, — „a ja nie wiem czy one uschną, czy nie uschną“?

Taka odpowiedź powinna Babunię mocno skonfundować; pedagogja Jej stanowczo porażki dostała.

— Bynajmniej — dowodzi Babunia, już to nie z mężką logiką, lecz z niewieścią — „co to szkodzi, że on trochę

czystej wody rozleje,—o to się nie gniewam, byle kwiatki nie zwiędły“.

Bo z Babunią dyskutować trudno, Babunia ma swoją logikę.

Zdarza Jej się tłumaczyć swe spóźnienie w powrocie z przechadzki, z wycieczki do stajni... ach! głównie do stajni wyrazami, które wstyd powtórzyć, ale prawda kronikarska zmusza do tego.

— Ja byłabym wróciła oddawna, ale dzieci nie chciały.

— „Dzieci nie chciały“! „Babuniu, przebóg, jakże można mówić, że dzieci nie chciały. Dzieci powinny słuchać.

Babunia na takie dictum bywa nieco zmieszana, waha się, w końcu odpowie: — „Prawda, powinny słuchać, — ale kiedy nie chciały, to nie chciały — i cóż ja pocznę?

Argument „nie chciały“ względnie do wnuków jest podług Babuni wystarczający: „dzieci chciały; — „dzieci nie chciały“ jest rzeczą wedle Babuni tak naturalną, prostą i sprawiedliwą, że o tem dyskutować trudno.

To też — przepowiednie ex re edukacyi i zdolności pedagogicznych Babuni bywają zwykle ponure.

— Co z nich będzie, gdy ich Babunia tak psuje?

— Palcami pokazywać ich będą.

— Samowolne, uparte, niezdolne stworzenia zrobią się przy takim psuciu.

Ale jakoś przepowiednie te się nie ziszczają. Dziwne to! Ziścić się powinny, bo prawdę mówiąc Babunieczka, cukiereczkami okropnie dzieci psuje.

Jednak w tem już Jej sekret, że ich nie zepsuje.

Gdyby tak podążyć za Babunią, gdy z wnukami chodzi po ogrodach, po polach, po lasach, to możeby się odgadło przyczynę, dla czego psuje ich, psuje, a jednak nie zepsuje.

Tej poezyi, jaką Ona zamknie w prostych słowach, gdy dzieciom tłumaczy, dlaczego i dla kogo zasiał „Bozia“ kwiatki i ziola, i trawy, i drzewa, pióro nie odda.

Tej mądrości, jaka się mieści w tych naukach, mądrzy ludzie, duzi ludzie nie oceniliby, nie zrozumieliby bo nie są prostego serca, jak oto te maleństwa.

Ale maleństwa rozumieją.

Maleństwa słuchają wykładu Babuni o ptaszkach i o wszelkiem Bożem stworzeniu, a to jest wykład miłości.

Maleństwa słuchają wykładu Babuni o estetyce, harmonii kolorów, opartej na przykładach, a to jest wykład piękna.

Błękitne jak błękit ich oczy anielskie podnoszą się w górę, idąc w ślad za ciekim klasycznym paluszkiem Babuni i gonią za skowronkiem, który pieśń wiosenną wydzwania i za obłoczkiem różowym, który się mięsza z drugim srebrnym i po nad skowronkiem, jak baldachim się wznosi, za bocianem, który przecina powietrze, jako chmurka zawieszona na błękitcie.

Wszystkie te dziwy, te cudne a codzienne dziwy wskazuje Babunia maleństwom i opowiada, a opowiada takie przytem śliczne historyjki, że dziecińy nigdy ich już nie zapomną.

I wróciły do domu, rozpromienione, - z blaskiem w oczach, już pełne myśli, pełne spostrzeżeń.

Co robiły z Babunią? zapytaj. —

Bawiły się, bawiły doskonale. —

Tak, one się bawiły. Ale, bawiąc, uczyły się patrzeć na niebo, na łąki, uczyły się estetyki przyrodoznawstwa, przedewszystkiem uczyły się kochać dzieła Boże, czego już dziś ludzie nie mogą, — podziwiać piękno, czego też nikt ich nie uczy, kochać naturę, rozumieć ją i uznawać w niej rękę Bożą.

Tego im nikt nie odbierze.

Później włożą im do ręki ciekawość, lub jakie uczzone „nihil“ — księgi mędrców nihilistów — i czytać będą Szopenhauera, i czytać będą Hartmana i Nietschego przestudjują; — Nie to.

Bo gdy w majowy ranek popatrzą na rąbek szaty Bożej, roztoczony w blaskach nad światem, gdy się

wsluchają w śpiew skrowronka i słowika, gdy okiem pogonią za bocianem, ulubieńcem lat dziecinnych. gdy oko ich przykuja lasy i łąki i pola i wody, to głos Babuni wyjdzie zwycięzki; nicość Nietschego, niesmak i przeszechy w duszy obudzi, a miłość do dzieł Bożych zwycięży, — ukochanie piękna zwycięży, filozofja Babuni, filozofia dla serc czystych, a nie pychę obłąkanych zwycięży.

Dlatego to choć Babunia psuje, psuje, przecież wnuków nie zepsuje.

Babunia-ogrodniczka. Starsza Pani kładzie duży kapelusz na głowę, czarny słomiany i na śliczne o wysmukłych palcach ręce wciąga rękawiczki i coś tam wsuwa do kieszeni jakieś kłębuszki, sznureczki, rzekłbyś, niebaczny obserwatorze: „śmiecie jakieś i narzędzia na pozór mordercze bierze do ręki; w drugim ręku laskę trzyma, laskę nie taką sobie zwykłą, filisterską; to jest laska pracownica, laska typowa. — unikat, zakończona szpadelkiem ostrym, wazkim, podługnym.

Tak uzbrojona idzie do ogrodu.

Najpierw spotyka chłopców flancujących kwiaty.

— Tak źle, chłopcy, — nie trzymajcie za łepki, dusicie, trzymajcie korzeń, czemu kwiaty dusić?

Bo dla Babuni każdy kwiat ma czucie, — nie lubi gdy go męczą.

Idzie dalej, — spieszy się, troszeczkę zasapana, — bo starsza Pani wspanialej jest postawy, — cudną miała figurę w młodości jak topola, — dziś majestatyczna i dla tego troszeczkę zasapuje się przy pośpiechu.

Ale nagle przystanąła.

— Um..., znowu oset, — w tem miejscu, co to za uparte stworzenie — i dalejże rozkopywać z korzeniami ów oset na zagładę skazany. Jest tam i drugi i dziesiąty.

Starsza pani wszystkoby wydobyła w pocie czoła, — zasapała się należycie. Ale ostów ani śladu. Precz z ostem.

Teraz przechodzi koło batalionu niewiast, pielących truskawki.

— Moje kobiety! tylko proszę do korzenia, do korzenia wyrwać. Nie po wierzchu. To na nie! Głęboko, jeszcze głębiej.

Kobietki zachęczone wyrrywają z korzeniem, a Babunia z pod oka na nie spogląda, ale sama nie próżnuje, o! nie!

Ciach, ciach, ciach. To agrestowe gałązki padają na ziemię. Z krzaku niski sztam powstał, z krzewu dziczałego lilipucie drzewko i zamiast drobnego piękny owoc wyda. Babunia rada—wnuki tak agrest lubią. Idzie dalej. To szkółka. To ukochane pole działania tej zawziętej ogrodniczki. Ogrodnik mówi, że się już nie przyjma, monologuje, że za stare zrazy. A ja myślę, że się jeszcze przyjma, żywe przecież, zawzięte, mocne, czemuż nie miałyby się przyjąć.

Teraz dopiero wiadomo, co to za aptekę wkładała Babunia do swej kieszeni wychodząc, wydobywa z niej maści, kłębki lyka, scyzoryki, — bierze gałązeczkę na pozór obumarłą do ręki, obcina, temperuje, jak ongi poeci pióra gęsi — i piórem gęsim orle hymny śpiewali, zaś z obumarłego patyczka wyrośnie duże drzewko owocami pokryte.

To bera, monologuje Babunia, — bera biała — znakomita.

I gałązeczką misterna już do dzikiej płonki przymocowana, aby z niej dzikie życie, to proste—zwierzęce czerpać, a wzamian udzielić jej swego szlachetnego, pożytecznego życia.

Tak myśli babunia. Ot księga natury, w niej czytać, z niej brać przykład.

I gładzi, smaruje, przygląda się pilnie, poprawia, niemal że pieści. Czy się przyjmie? дума. Ależ niewątpliwie. Przyjmie się każda. Już się setki przyjęło, słodką dłonią Babuni zaszczerpione i pobłogosławione na

życie; przecież nie na próżno Jej paluszki noszą miano: „les doigts de fée“.

Czego dotkną, to wyrośnie, rozwinie się na coś pięknego i dobrego, bo to Ona zrobiła. Każda roślinka, każde drzewko w ogrodzie zajmuje Ją specjalnie.

O każdej porze innemu oddaje się zajęciu namięt-nie. I tak gdy truskawki wąsy puszczają, dopiero tam łopatką Babuni gospodaruje między niemi; istna brzytwa. Ciach! ciach! ciach! ciach!

Precz z wąsami.

Nie dlatego by ich Babunia na mężkiej twarzy nie cenila; przeciwnie. Uznaje wąsy, o ile twarz jest szlachetna, ale i najpiękniejsze wąsy i najpiękniejsze rysy nie zjedną Babuniowej aprobaty, o ile ich właściciel nie nosi w oczach i na czole śladów duszy myślącej.

Dla Babuni gdy twarz mężka jest dobra i myśląca jest piękna, — gdy nie jest, to choćby dłutem mistrza rzeźbiona, jest brzydka.

To ładna lala, — dowodzi, — pomimo wspaniałych wąsów, to nie mężczyzna; i sprzecza się ze zwolenniczkami lał takich, iż mają oczy, a nie widzą.

Ale co do truskawek, tem stanowczo wąsów mieć nie wolno, one mają rodzić owoce, a nie wąsy. Więc precz z wąsami!

I truskawki ręką Babuni pielęgnowane rodzą owoce, któremi oko i podniebienie ludzkie się delektuje.

Zaś kwiaty! Co za słodkie oczy robi do nich Babunia. Jak się uśmiecha patrząc na nie, jak lubi między niemi gospodarować.

Jeden podpira, drugi układa, inny oczyszcza z suchych listków. Radaby własną ręką podlewać, własną od słońca ocieniać.

Ma swoje ulubione fijołki, rezedę, róże, goździki i lilije! Bukiety układać, kombinować w harmoniją kolorów, lubować się każdym z osobna, — dogadzać im.

A z ogrodnikiem sprzeczki bywają. On dowodzi, że starsza pani psuje kwiaty. A tak, tak, to tak, jak dzieci, psuje, psuje, ale nie zepsuje.

Babunieczka Arachne. Moje dzieci! gdzie się też podział ten mój śliczny mahoniowy kołowrotek? Po babce był waszej. Bo to i pamiątka i ja także lubiłam myśleć sobie, że gdy wy podorastacie, a dokoła mnie pokój się zrobi, to sobie na nim prząść będę długie, długie niteczki i wnukom śpiewać piosnki dawniejsze. I śliczny był i przeszłość przypominał, - kiedy to jeszcze turkotu maszyn i świstu pary nie było słychać.

Babunieczka nie cierpi maszyn i pary.

Nie cierpi narówni z Ruskinem.

Gdyby pisała do druku, to niezawodnie nietylko „Framasonom“, ale i parze i mechanice wszelkiej wypowiedziałaby wojnę.

Wszystkie nowe maszynerje nazywa „Niepokojem“.

Bo to hałasuje, męczy i sztuczny, nienaturalny wywołuje pośpiech. Brzydkie jest i nuży nerwy ludzkie i zakłuca harmoniję, przecudną, pełną majestatycznego spokoju harmoniję świata.

I na tym punkcie nie ma co z Babunią dyskutować, bo dowodzi, że mała korzyść, a duża szkoda dla ludzkości, i dla natury, i dla sztuki z tych wszystkich machineryi, i nikt Jej tego z głowy nie wybije.

Dla tego tęskni za swoim ślicznym, jak zabawka mahoniowym kołowrotkiem.

— Gdzie on się podział?

Ba! Gdzie on się podział!

Wieleż, to wieleż pięknych i przepięknych rzeczy się podziało gdzieś.

Bóg jeden wie, gdzie. . . .

Bo Babunieczka ani się spodziała, na jakie wartkie fale życie ją poniesie. Ani przypuścić mogła. Ona, dla której natury kobiecej sielanki tylko, a łąki ciche i kwieciste zdały się stworzone, ani przewidzieć zdołała w jakie odmęty, wiry, tonie zostanie porwana.

W tych odmętach i wirach inna byłaby zwątpiła i „Otchłanią“ życie nazwała.

Ale ona wierzyła i kochała. Więc wtedy, gdy wichry losów piętrzyły fale nad falą przeciwko statkowi, Jej na życie przeznaczonemu, Ona ani się ulękła, ani przeklinała. Jakoby w przystani cichej uczyła dzieci.

Więc te starsze już przez Nią, przez Nią jedną nauczone czytały Jej Ewangelje i śpiewały pieśni podniosłe.

A te młodsze sylabizowały na książce pobożnej pierwsze sylaby.

A te najmłodsze poznawały literki wśród pieszczot i zabawy, nigdy nie zaznawszy, że to trudne i zmudne, bo matka z miłością w oczach i słodkim uśmiechu uczyła.

Fantazyi Babuniowej mógłby Jej niejeden mistrz pozazdrościć.

Ani Ją kto uczył—ani pracy mrówczej w tym kierunku się nie oddała.

Ale już tak z natury — jak pszczoła umie miód robić, a pajak prząść nici srebrne na polach, — tak ona potrafi malować i haftować, kwiaty i gałęzie, ptaki i wodę, — wodospady i robaczki, — motyle i niebo.

Ani do tego modeliów potrzebuje, ani patrzy na wzory żadne,—nic niema przed sobą,—wszystko w sobie.

Jak ten który z siebie wysnuwa melodje i światu je daje, tak Babunia wysnuwa z siebie obrazy i obrazki tego, co kocha w naturze, dla swoich dzieci z pasją Babunia maluje,—zdawałoby się że dla Jej natury artystycznej najmiłszem zajęciem pędzel w ręku trzymać,—a przecież kaftaniczki, kamaszki dla wnuczek białe, zawsze białe, toż dopiero wyrastają z pod paluszków Babuniowych. Z lubością jeszcze większą posługuje się szydełkiem bo to dla wnuków!

Jak lubi przymierzać—jak spoglądać na te różowe buzie z zachwytem i miłością wielką.

Gdy przymierzy, każe podziwiać. Wszyscy chwalić muszą. Jak jej ślicznie! Jak jej ślicznie!

Każe sobie dziękować,—no i wtedy wnuczki ściskają oburącz głowę Babuni i tulą się do Niej i przymilają: „Babunieczku, cukiereczku“.

Od wszystkich skarbów tej ziemi woli ona każdą z blond główek co się do niej wdzieczą, od wszystkiego co po zatem, świat dać może, a za czem ludzie tak pędzą, tak szaleją, tak wyrrywają sobie często bez wstydu, i bez opamiętania pragnąc tak wiele, gdy tak mało trzeba.

I te makaty, i te ekrany, i te panoty, i te stoły, i te gobeliny, i—te czapeczki, i te kaftaniki dla wnucząt są dla Babuni rozrywką.

Zaś są roboty, które są również modlitwą. Trzeba patrzeć, gdy Babunia robi „Ombraculum“.

Skupienie widać na Jej twarzy,—uroczystość pewną. Igielka równo, równo wypełnia grona winne i złote kłosy,—do koła serca nad wszystkie serca, wieniec się splata emblematyczny.

A każdy ścieg to słowo modlitwy — to śpiew radosny, — to hymn pochwalny.

Święty! Święty! Święty! — to wszyte w winne grona, i w złote kłosy.

Gloria in excelsis Deo, — to wplecione w wieniec serce wieńczący.

Magnificat—tem utkana praca cała.

Gdy haftuje Ombraculum Babunia się modli.

.

Babunia - esteta. Tak, gdy się o Niej myśli często, najczęściej Ruskin pamięci się nasuwa.

Mają ci Państwo tyle tyle wspólnego.

Gdyby zebrać wszystkie listy Babuni i wydać byłoby tomy,—a w tych tomach znalazłyby się pisane bez pedanteryi, swobodnie z przedziwną lekkością, potocznością stylu całe wykłady filozoficzne, etyczne, estety-

czne, wykłady te w zasadzie zgadzałyby się zupełnie z myślicielem estetą angielskim, bo tak jak on, nienawidzi Babunia kominów fabrycznych, świstu lokomotyw i tego, co świat szpeci.

Niech no wyrzy poza obręb siól wiejskich. Niech no zobaczy lan lnu. Co za zachwyty! Po prostu kult ma dla takiego pola błękitnego.

Bo to i niebo przypomina — mówi — i oczy dziecinne, —bo to śliczne i takie, takie pożyteczne.

Naturalnie. Jeszcze i Bakoliki Wirgiliusza, a przed nimi Biblia len sławi — a Babunia, gdyby umiała składać rymy, złożyłaby z pewnością odę na cześć lnu.

Gdy kobiety koło lnu pracują, z pewnem uczuciem zazdrości spogląda na nie.

Nie, — zazdrości nie; bo ten wyraz stanowczo nigdy i nigdzie do Babuni nie da się zastosować, — ale patrzy na nie z wyrazem porozumienia, uznania i najwyższej sympatyj w oczach.

Kobiety przy lnie, lub rozciągające długie, długie smugi białego płótna na łąkach, choćby i brudne i brzydkie były, przemieniają się dla Babuni w poezją.

Pod tym względem staje się Don-Kiszotem, każdą babę za Dulcynee wzięść gotowa, byle len siejącą, płótno polewającą, lub przędącą kądziel.

Jak tu temu płótnu dobrze być musi — zawoła nieomylnie, ile razy popatrzy na wyciągnięte pasma z mozołem utkane, a pozłoczone na coś niewymownie jasnego, przez słoneczne promienie, świecące z daleka, skąpane i rosą poranną i wodą ze strumienia, żarem słonecznym otulone, ogrzane, — i znowu kąpiące się w potokach krynicznych, — tuż, tuż w sąsiedztwie szmaragdowych dywanów, — niby opona złocisto-biała rzucona na kobierzec ręką Boga umajony i zahaftowany.

Ach! jakże się to Babuni podoba.

I znowu marzenia o kołowrotku i tęsknota za tym zaginionym... do ładnego cacka podobnym, wracają.

Len, kołowrotek, — tkane płótno i młyny.

Po prostu aż wstyd tak za młynami przepadać; — pod tym względem jeden tylko Ruskin zrozumiałby to. — Ale nie za temi młynami, co to wysokie murowane, do kamienie podobne, stoją sobie sztywne i dumne, a bogate przy szosach.

Ej nie te! — to są młyny dorobkiewiczze. Anatema!

Tylko te ciche, pokorne, wśród zieloności olch ukryte, — nagle z zakrętu drogi między łąkami dach swój krzywy, nieśmiało wychylające.

Dokoła nich stawek, jeziorko, strumienie, dokoła nich wierzbina w wodę patrząca, — śpiew słowików, gniazda bocianie.

Na ich kole spokojnem, powolnem, umiarkowanem, przelewa się woda strumieniami, — szumi, szumi i przegarnia diamenty a opale, — szumi, szumi bez przerwy i przesuwają wstęgi wzorzyste, wstęgi tęczowe, — szumi, szumi tajemniczo, a przeczesuje smugi słoneczne i przeryna snopy błyskawic, i szumiąc odmawia różańce długie, różańce bez końca.

A nad tem wszystkim skowronki „dzień kończą świergocąc w obłokach „Ave Marja Stella“.

A nad tem wszystkim bociany odmawiają swe wieczorne pacierze, — a nad tem wszystkim topola zaszemrze — i słońce ciska taką wspaniałą przejrzystą oponę z purpury, że samo zdaje się na młyn ów oglądać z tkliwością, póki się do snu za skrajem lasów nie ukołysze.

Babunia nie umie na młyn taki spojrzeć obojętnie. Zawsze w Jej oczach zabłyśnie wtedy rozrzewnienie i wdzięczność. Śnać serce Jej unosi się wtedy wysoko. Dusza Jej pewnie „Sursum corda“ woła.

Bo ona wie, że nietylko przepaściste bezdnie Bóg stworzył i nie na to je stworzył, by się w nie człowiek w rozpacz swej staczał. On stworzył przede wszystkim, blask słońc i zór wieczornych, — blaski gwiazd i dróg mlecznych i światy cudne, światy od marzeń najbujniejszych piękniejsze. I On stworzył spokój, a harmonję

w każdym zakątku ziemi naszej, — ale tylko... dla dusz prostych.

Zatem len, płótno, kwiaty i młyny wiejskie, kołowrotki i krosna; — czyż to nie Ruskin? czyż to nie jego upodobanie jego e srukochanie?

Więc przyznać należy, że skoro o nim i jego gustach tomy piszą, to o Babuni pare stron też warto.

Prawda, że Ruskin oczy kraju swego otworzył na piękność lnu, płótna i młynów, zaś Babunia tylko oczy swego najbliższego otoczenia otworzyła na też same cuda, ale zato otworzyła je szeroko i wlała w nie miłość do swoich upodobań, a gdy się w serca miłość do czego wleje, to ze źródła, jakim w tym wypadku była dusza Babuniowa, wypłynie fala szeroka z pokolenia na pokolenie, bo matki dzieciom, a dzieci wnuków teje samej miłości i upodobań udzielać będą.

A gdyby tak wszędzie jak Babunia patrzeć i czuć umiano, wtedy mniej pospolitem, mniej do trzody podobnem, mniej ślepem i mniej głodnem zaspakajania żądz zwierzęcych byłoby plemię ludzkie.

Nie mogą innemi być przekonania Babuni, bo jest Ona urobioną na jednej jedynej tylko księdze.

Nie dlatego, by tę tylko czytała; czyta bowiem bardzo wiele, aż dziw, zkad czas bierze na tyle zajęć. Gdy o Sienkiewiczu mówi, to z takim zapalem, jak młoda panienka.

„Defiez vous de l'homme d'un livre“ mówi, zdaje mi się, Pascal.

Otóż Babunia jest kobietą jednej księgi, bo jednej księgi dziełem, ale księga ta jest nad wszelkie księgi. „Nowy Testament“ imię Jej.

Do osobistej biblioteki Babuni należą różności, a przede wszystkim „bakiny“ wielkie i ciężkie, przed których objętością zadrżałby niejeden filozof; nie dla parady leżą one po stolikach i biurkach niedbale rzucone to tu, to tam.

Zajrzyjcie wewnątrz, a przekonacie się, po trochę pomiętych, nieco pośliskłych kartach, że są czytane często, a uważnie. Są to „Żywoty Świętych“, Skargi. Każdy żywot zakończony „Obrokiem duchownym“. Ten to obrok lubi Babunieczka sypać dziatkom swoim.

Bywa że ktoś wejdzie znienacka do pokoju Babuni. Posłuchaj, rzeknie, poczekaj — przeczytam ci obrok duchowny na dzień dzisiejszy.

Bardzo ładnie i trochę nie śmiało prosi Jedyna, bo nie lubi narzucać się, nawet z takimi „Obrokami“, —ale nie wypada Jej odmówić.

Chłopcy stuliwszy uszy siedzą — może trochę niecierpliwie, ale siedzą i nolens volens — słuchają.

Narazie nic. Wrażenie żadne!

Rzekłbyś, że im się na ziewanie zbiera. Ale gdy siewca sieje ziarno, na razie nic. Ot szara ziemia, szare niebo, trochę mgły, — opary jesienne, wiosenne. A tam kiedyś później, później, gdy już siewca zapomniał prawie, iż to jego sianie, wtedy kłos wystrzeli, a w nim ziarno — ziarno na życie.

Tak jedna jest dla Niej księga na świecie, jednat, jedyna.

I wszystko, co jest, będzie, napisane, gdy się opiera na tej księdze, jest mądre, a wszystko, co się opiera na ludzkich pomysłach, ludzką natchnione pychą, jest głupie.

Tak twierdzi Ona.

A bodaj, czy tego nie zatwierdzą wieki wieków.

Nie uczonością uczonych czasu obecnego, ale mądrością „księgi“ mądrą jest Babunia. Uczeni nie zniżyli by się do dysput z Nią, możeby nawet i szydzili z Jej prostoty, z Jej braku wiadomości ścisłych konkretnych.

Ale nie Ruskin.

Dlatego to wczytując się w ciebie, Ruskinie, mimowoli myśl potraça o tą, którą, znając, byłbyś ocenił.

Ty jesteś bardzo wielki i wstrząsaszesz sumieniami ludzkimi, jak ten, który sieje, potrząsa ziarnem w płachcie,—żyłastą dłonią przewracasz skibę po skibie w sercach i umysłach ludzkich,—„złotousty“, „złotopiórny“ wołasz głosem opoki wzruszającym. „Wstańcie z martwych Wy, którzy śpicie, wy—gnuśni, wy słabej a nędznej duszy, wy chorzy od nadużyć ciał waszych, wy zgnili od zarazy w której dobrowolnie się pogrążacie, wstańcie z martwych i słuchajcie, co czynić należy“.

I powiesz, a uczysz, bo ci wielka władza daną została od Tego, który skarby wydziela.

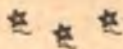
Twoim ceniom, świat rozjaśniającym, opowiadam, jaką jest Babunia, która tak, jak Ty, ukochała piękno, sztukę, pracę, mądre księgi, naturę, dzieci, kwiaty i nawet swoją małą skalę niewieścią z uśmiechem na ustach, z pokorą w sercu, uczy swych blizkich miłości dla tego, co sama ukochała.

„Burze otoczyły Ją zewsząd i nie złamały Jej“.....





Ruiny zamku biskupiego i kościół parafialny w Broku.



Brok jest osadą w powiecie Ostrowskim, guberni Łomżyńskiej, odległą o 1½ mili od miasta Ostrowia.

K. Szajnocha w pracy swej, dotyczącej XIV wieku, p. t. „Jadwiga i Jagiełło“, wspomina o bartnikach brockich. Na początku XVI stulecia Brok staje się własnością biskupów płockich. Malowniczy jego widok przy Bugu, opiewany przez Sarbiewskiego, przyczynił się do tego, że Brok został ulubionem miejscem pobytu tych biskupów, którym zawdzięcza różne przywileje.

Na początku XVII stulecia Henryk Firlej rozpoczął przy połączeniu rzeczki Brokówki z Bugiem budowę niewielkiego zameczku, ale będąc w tym czasie powołanym na stanowisko prymasa, nie zdołał ukończyć budowy, która została uskutecznioną przez jego następców.

Pierwsza wojna szwedzka nie uczyniła szkody zamkowi, lecz w drugiej, zamek padł ofiarą spustoszenia. W roku 1717 biskup Józef Załuski odbudował zamek na nowo. Gdy zaś władze pruskie odebrały biskupom majątki, zamek powoli zaczął upadać; pożar zaś dokonał



ostatecznej ruiny. Ocalały tylko ściany z północnej, wschodniej i południowo-zachodniej strony, jak również wieża i kaplica, przyległa do gmachu. Co się zaś tyczy środkowej części zachodniej ściany, to prawdopodobnie została rozebrana na materiał budowlany. Drzwi i okna w zamczysku w znacznej części zniszczone, mają wygląd bezkształtnych otworów różnej wielkości. Tylko kształt okien w kaplicy pozostał nieuszkodzonym. Wewnątrz zamku zanikł podział na piętra, a cała przestrzeń zarosła wysoką, gęstą trawą, w której zauważyć się dają, resztki opalonych belek i desek.

Ruiny zamku znajdują się na wzgórzu i są otoczone dość znacznym, lecz zaniedbanym parkiem, w którym ptactwo obrało sobie schronienie. Na wieży spostrzega się ogromne gniazdo bocianie. Jedna z alej parku istnieje dotychczas.



Kościół tutejszy parafialny pod wezwaniem Św. Anny wyróżnia się pod względem artystycznym, jako ujawniający cechy przejściowe od ostrołuku do renesansu.

Budowę tego kościoła dochowaną w całości do czasów obecnych rozpoczął biskup Samuel Maciejowski (1542—1546) około 1544 roku, dokończył zaś biskup Andrzej Noskowski (1546—1567) w roku 1560.

Mury kościelne są nietynkowane, szczyty w stylu ówczesnym przyozdobione w płaskosłupy; od południa znajduje się kruchta, od północy kaplica, a z tyłu oprócz zwykłego prezbiterium jest półokrągłe sanctuarium.

Ostrolukowe sklepienie świątyni otaczają rzędem zbudowane wnęki, jak w kolegiacie pultuskiej. Ołtarzy w kościele jest pięć. Z nich zasługuje na uwagę ołtarz Matki Boskiej, zbudowany w roku 1744, podobny do genealogicznych XV—XVI w. w.; u stóp ołtarza umieszczono śpiącą postać patryarchy Jakóba z piersi którego wyrasta drzewo, na którym spostrzegamy 15 kwiatów, z popiersiami świętych, proroków lub patryarchów. Kwiaty te tworzą jakby aureolę ukoronowanej Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Nad obrazem błyszczy gwiazda, otoczona przez aniołów, a na niej Dzieciątko Boskie zwycięża śmierć. Nad gwiazdą znajduje się baldachim, okrążony promieniami. Zasługuje też na wzmiankę ambona w stylu odrodzenia i stalle, zbudowane równocześnie z założeniem kościoła, dosyć nieudatnej roboty, ozdobione malowidłem lichego pędzla. W kruchoce zawieszono na łańcuchu część goleni i zęb mamuta. Według podań, te części szkieletu przedpotopowego zwierzęcia były niegdyś wyrzucone przez Bug i przyniesione niewiadomo przez kogo jako dar dla kościoła.

W kaplicy są umieszczone dwie tablice: jedna poświęcona pamięci siostry starosty brockiego Łukasza Piecznowskiego, Elżbiety Radzywińskiej, † 1640 r., a druga proboszcza brockiego Jacuba Odrzywoła † 1670 r.

Grzegorz Worobjew,

*uczeń pracownik komisji historii sztuki Akademii Umiejętności
w Krakowie.*



of o. Bronk Rozmaitości



ORZEŁ.



Ponad lasy, ponad skały,
Wzleciał orzeł młody,
Skrzydła łatwo żeglowały,
Nie znał co przeszkody.

Dumnym wzrokiem rzucał wkoło,
Ufny w siły swoje,
I po siole — mijał sioło,
W niebios mknął podwoje. —

Tam się słonko jasne pali,
W blask tęczy mieni,
On niepomny burzy — fali,
Leci do promieni!

Do promieni złotych słońca,
Co czar nań rzuciły,
Bo tkwi wiara w nim gorąca,
Że mu starczy siły. —

Bo kołyszą go nadzieje,
Że dosięgnie celu,
Że go wicher w bok nie zwieje,
Jak to czynił z wielu...

Wielu, wielu stracił braci,
Za słońcem w pogoni —
Lecz nadziei ón nie traci,
Że sił swych nie strwoni! —

Leci orzeł! — a dokoła
Dziwią mu się wrony,
Aż z nich jedna, doń zawoła:
„Orle, tyś szalony!

„Śmierć cię czeka w tej podróży
„Nim dolecisz mety,
„Głos mój w porę tobie wróży,
„Że zginiesz, niestety!

„Jeśli drogie ci twe życie —
„Wróć się, orle młody!
„Bo śmierć na cię czeka skrycie
„Nim zwalczysz przeszkody!”

Orzeł tylko wzrok wspaniały
Zwrócił w stronę wrony, —
Skrzydła dalej żeglowały,
Krzyknął urażony:

„Hej! nie tobie, płytka wrono,
„Sądzić loty moje!
„Tobie ziemia jest sądzoną —
„Mnie niebios podwoje.

„Dla cię tylko życia celem:
„Znaleść żery sute!

„Jam zaś słońca jest czcicielem!
„I orlą mam butę!“

I przepyszny w tej swej bucie
Poszybował dalej!
Niedościgłem jest uczucie,
Co się w sercu pali.

I na skrzydłach je porywa
Zśród ziemskiego kału,
Snuć słoneczne hen! przędziwa
W sferach ideału!..

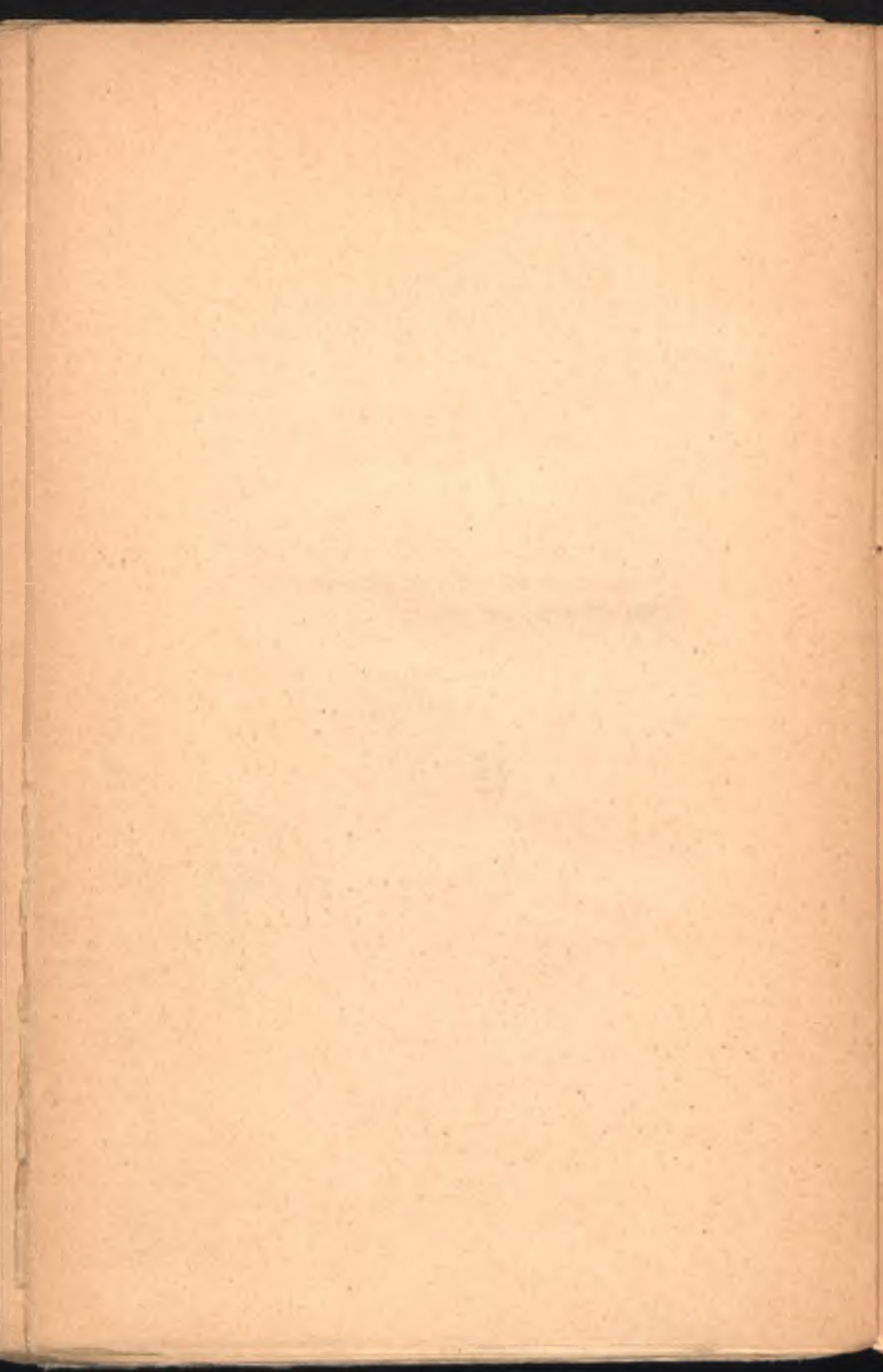
Noella.



Najbogatszym jest ten, któremu nie można już nic odebrać,—ale jakże niewielu straty wpisuje pod rubrykę dochodów.

Maria Rodziewicz.





OGŁOSZENIA.

KSIEGARNIA GEBETHNERA i WOLFFA w WARSZAWIE

Poleca

➤ Ostatnie Nowości. ➤

- Askenazy Szymon.** Dwa stulecia: XVIII i XIX: I. Treść: Przedostatnie bezkrólewie — Fryderyk II i August III. — Sprawa wschodnia przed wielkim sejmem. — Odgłosy Targowicy. — Przyczyny wyprawy do Moskwy. — Z działalności ministra Lubckiego. — Cesarz Mikołaj I w Warszawie. 3.60
- Przymierze polsko-pruskie. Wydanie drugie. 1.50
- Augustynowicz Jan.** Pociągnięcia podziem. Nowele. 1.80
- Bęczkowska-Grot Wanda** (Władysława Korotyńska). W szponach. Powieść. 1.—
- Belza Władysław.** Szkice, wspomnienia, obrazy. 1.—
- Daniłowski G.** Z minionych dni. Fragmenty powieściowe. 1.80
- Dublecki Marian.** Obrazy i studia historyczne. Serya I. Wydanie drugie. 2.—
- Treść: Osadcy ziemi Mandżu w XVII stuleciu. — Gniazdo hetmańskie. — Czarniecki w Danii. — Miłość wieków ubiegłych. — Jeden dzień z życia Piotrkowa w XVIII w. — Jan Długosz, pierwszy dziejopis Polski.
- „Obrazy i studia historyczne.“ Serya II. 2.—
- Treść: Kaffa, osada Genuńska i jej stosunek do Polski w XV w. — Zawiazki dziejów Siczy Zaporozkiej. — Zarysy instytucji Zaporoz. — Mohort, rycerz kresowy. Dwie królowe. — Przedstawicielki dawnych dynastji. — Katarzyna Jagiellonka, królowa Szwedzka.
- Gomulicki Wiktor.** Biała. — Chalat. — Te przeklęte czarne oczy... — Alleluja. — Kwiaty z lasu. 1.—
- Konczyński Tadeusz.** Śladem tęsknoty. Powieść. 1.—
- Konopnicka Marya.** Italia. Poezye. Z portretem autorki rub. 1.— W ozdobnej oprawie 1.40
- Poezye w nowym układzie I. Fragmenty rub. 1.— W ozdobnej oprawie 1.40
- Poezye w nowym układzie II. Helenica rb. 1.— W ozdobnej oprawie 1.40
- Kozłowski Stanisław.** Dyana. Komedia obyczajowa w czterech aktach. 1.—
- W ozdobnej oprawie 1.40
- Krechowiecki Adam.** Fiat lux! Obraz historyczny z czasów Jadwigi i Jagielly. 1.50
- Kubała L. Dr.** Szkice historyczne. Serya I i II. Wydanie czwarte. Każda serya po 2.—
- Treść: Serya I. Królewicz Jan Kazimierz. — Oblężenie Lwowa. — Oblężenie Zbaraża. — Poselstwo Puszkiwa w Polsce. — Bitwa pod Beresteckiem. — Koszka-Napierski. Z pięcioma rycinami.
- Serya II. Proces Radziejowskiego. — Pierwsze „Liberum voto.“ — Krwawe swaty. — Czarna śmierć. — Wyprawa Żwaniecka. — Mieszczanin polski w XVII w. Z czterema rycinami.
- Lango Antoni.** Fragmenta. Poezye wybrane rb. 1.— W ozdobnej oprawie 1.40
- Matuszewski Ignacy.** Słowacki i nowa sztuka (Modernizm). Twórczość Słowackiego w świetle poglądów estetyki nowoczesnej. Studium krytyczno-porównawcze 1.50
- Nowiński Józefat.** Sienkiewicz. Studium literackie. 1.50
- Orzeszkowa Eliza.** Chwile. Wybór nowel. 1.50
- Ostrowski-Nałęcz Stanisław.** Pas rycerski. Powieść historyczna. 2 tomy 2.—
- Reymont Wł. St.** Przed świtem. — Pewnego dnia. — Sprawiedliwie 1.20
- Sheldon Karol M.** W jego ślady. „Jakby Chrystus postąpił.“ Z angielskiego oryginału przełożył Wojciech Szukiewicz. 1.40
- Tarnowski St.** Józef Szujski jako poeta. 1.20
- Tetmajer Przerwa Kazimierz.** Panna Mery. Powieść. 1.80
- Poezye. Serya I. II. III. IV. Wydanie drugie. Każda serya po rub. 1.— W ozdobnej oprawie po 1.40
- Wagner C.** Młodzież. Dzieło uwieńczone przez Akademię francuską. Przekład z dwudziestego drugiego wydania. 1.20
- Weyssenhoff Józef.** Sprawa Dołęgi. rub. 1.80, na papierze czerpanym 4.—
- Zdzichowski M.** Szkice literackie. 2.—
- I. Treść: H. Sienkiewicz. — Neoidyalizm francuski. — Edward Schuré i esoteryzm. — Katolicyzm a prądy religijne w literaturze. — Idea Boga w twórczości artystycznej. — Spór o piękno.
- Żeromski Stefan.** Ludzie bezdomni. Powieść. Wydanie trzecie. 2 tomy. 2.—
- Żmichowska Narcyza.** Myśli. Zebrała Ella. I. Wzmianki autorki o samej sobie. II. O przyjaźni, miłości i o kobietach w ogóle III. O wychowaniu i rodzinie. IV

Połączenie telefoniczne z Łomżą, stacja w Mleczarni.

DOMINIUM DROZDOWO

st. poczt. i telegr. Łomża.

Browar Parowy

własne hurtowe składy piwa: w Łomży, Ostrowi, Warszawie Królewska № 27, w Petersburgu, Mochowaja № 32, u I. O. Elisiejewa.

Piwiarnie i restauracje: w Łomży, Piątnicy, Ostrowi, Ostrołęce, Stawiskach, Kolnie, Szczuczynie, Grajewie, Augustowie, Suwałkach, Jedwabnem, Nowogrodzie i Zambrowie.



Ostrzega się przed naśladownictwem.

Młyn walcowy elektryczny

Mąka pszenna i żytnia wszelkich gatunków.



Warsztaty mechaniczne

przyjmują reperację wszelkich narzędzi i maszyn rolniczych, maszyn parowych, gorzelniczych, tartaków i t. p. Odlewania części mosiężnych.

Ceny przystępne.

Wykonanie dokładne.



SZKÓŁKI LEŚNE.

polecają duży wybór sadzonek.

◆ Cenniki gratis i franko. ◆



Mleczarnia Drozdowska

w Łomży, ulica Krótka róg Jatkowej, dom własny.

Właściciele Synowie Fr. Lutostawskiego.

Adres telegraficzny: „Łomża Lutostawski”.



Franciszek Fuchs i Synowie

WARSZAWA,

ulica Miodowa № 16.

Skład hurtowy towarów kolonialnych, deli-
katesów i konserwów.



WŁ. NOWAKOWSKI

DOM HANDLOWY

Warszawa, Aleja Jerozolimska 49/14.

Kupuje i sprzedaje artykuły paslewne: owies, siano, koni-
czynę i inne. Posiada na składzie: Centryfugi, masiel-
nice „Geufonja“, przyrządy do oczyszczania brudnej oli-
wy i inne. Wagi decymalne, sełne i wagonowe.

Osobom wiekowym

lub słabym na oczy polecam **okulary**
lub binokle do wzmocnienia wzroku
po 1 rubel 20 kop.

Mającym słuch przytępiony

i głuchym polecam rurki słuchowe do
umieszczania w uchu; cena rubli 2.

Bandáže rupturowe

usuwające przykre następstwa kalectwa,
na miarę, od rubli 2 do 5.

Oczy sztuczne, nogi, ręce

wyrobu miejscowego.

Piorunochrony

zabezpieczające budowle drewniane i
muruwane od skutków piorunu; od rb. 10.

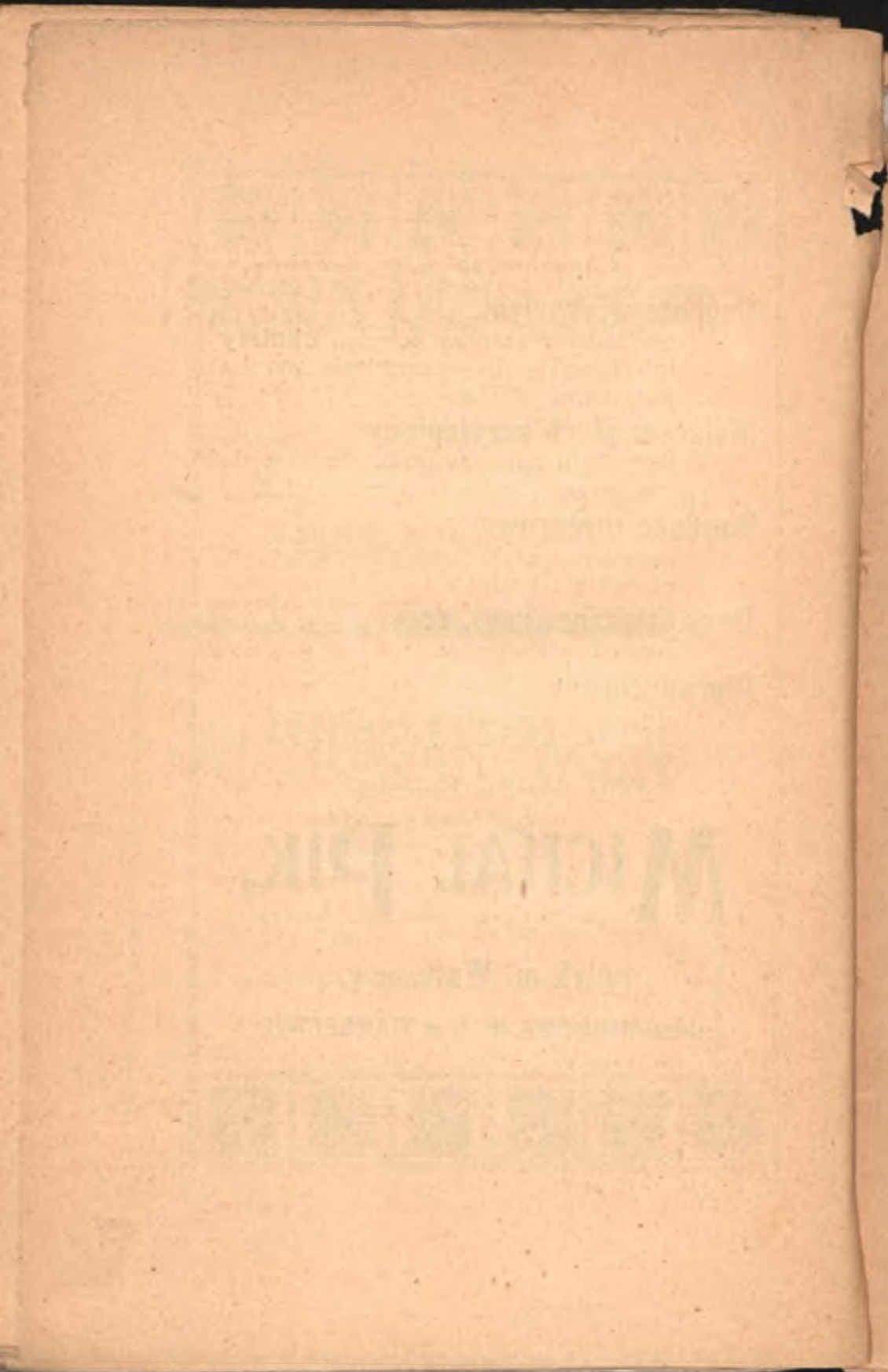
Cenniki wysyłam bezpłatnie.

MICHAŁ PIK,

optyk m. Warszawy,

ulica MIODOWA № 1, w WARSZAWIE.







Alte Töpferwerkstätte

Wien

FRYBERG

Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie

1386c



Akcyjne Towarzystwo
Warszawskiej Fabryki Perfum
FRYDERYK PULS

POLECA:

Perfumy Orchidée, „Viola Nostra“, Wedgewood,
wyborowe mydła toaletowe, wody kolońskie kwia-
towe, pudry i różne wyro-
by kosmetyczne. ———



Fabryka egzystuje od r. 1852



Sprzedaż i biuro zarządu
ul. Wierzbowa (Plac teatralny) Nr. 11.

